Nr. 20 (1273). Warszawa, 14 (27) Maja 1905 r. **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Prusy podczas wojny.

Podczas tej wojny zadawano sobie nieraz pytanie, wygłoszone niejako odrazu hukiem dział w nocy z d. 8 na 9 lutego pod Portem Arthura: jak też się zachowają Prusy? Czy wytrwają w dobrych sąsiedzkich stosunkach, opartych na dobrem zrozumieniu interesu rządowego w Berlinie, podsycanych wspomnieniami rzadkiej w dziejach, od 150 lat już blizko trwającej zgodności, braterstwa broni i przyjaźni politycznej; czy też, obmyśliwszy dla swej chciwości zdobywczej i przezorności ochronnej inny środek ciężkości, zrozumieją interes swój inaczej niż dotychczas, porzucą bierność, a korzystając z ciężkich kłopotów, ze srogich nawet doświadczeń losu, po całem pasmie, tak długiem, prawie nieprzerwanem a krwawem, czynów wspólnie z Rosyą dokonywanych, pomyślą teraz o jakim czynie przeciwko niej wymierzonym? Im większe było niepowodzenie na obu widowniach wojny, im większa rozterka wewnątrz i na samych pograniczach, z tem większą ciekawością spoglądano na zamek królewski w Berlinie i na Neues Palais w Potsdamie.

Samo przypuszczenie, że coś na własną rękę we własnym interesie, bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przeciwko Rosyi przedsięwziąć może następca Fryderyka II, było tak przerażające, że te z dzienników europejskich, których głos miewa brzmienie dyplomatyczne, nie ważyły się nigdy tematu poruszyć, a największą powściągliwość okazywała prasa pruska i prusko-niemiecka, mocniej od innych zobowiązana do oglądania się na Petersburg w sprawie mającej właśnie skompromitować i rząd i tłum przezeń rządzony i politykę dobrego sąsiedztwa i 150-letnią tradycyę gorącego łgnienia ku Rosyi. Czekano długo czy wąż nie wypełznie z zanadrza—i nie doczekano się. Przeciwnie, zbierając pamięcią wynurzenia p. Bülowa, bąkania sejmowe i głosy polityków kałamarzowych, a wyrzucając z niej niedorzeczne ordynarne szmermele o gotującem się zakłóceniu stosunków, jak np. wrzekome dyslokacye jazdy pruskiej na pograniczu Królestwa, sprzedawane na straganach dziennikarskich, można na pewno powiedzieć, że Prusy wojny i jej kolei nie uznały ani na chwilę za okoliczność dla siebie przyjazną, nie objawiły zamiaru skorzystania z położenia Rosyi, nie pogwałciły względem niej obowiązku neutralności, a nawet, co więcej, zachowały się z życzliwością, której kanclerz nawet wypierać się musiał w swoim sejmie. To, że znowu ten nietoperz, jakim jest rasa żółta, na chwilę wczepił się we włosy cesarza Wilhelma, mógłby jedynie wzmocnić wiarę nietylko w szczerość neutralności samej, ale i w pragnienie zwycięstwa dla Rosyi.

Pod jednym tylko względem cesarz Wilhelm i p. Bülow skorzystali z ciężkich dni, które obecnie przeżywa Rosya, a stało się to od strony Francyi. Gdyby nie wojna, pewnoby dyplomacya rosyjska znalazła w sobie dość energii i dość powagi, aby człowiekowi rządzącemu dziś Niemcami odjąć ochotę do lekceważenia umowy francusko-angielskiej o Marokko. Jest to jednak tak małe przeniewierzenie się zasadniczemu prawu łgnienia do Rosyi, jak znowu ze strony rosyjskiej czysto-platonicznem wydawać się zawsze musiało ślubowanie zbrojnej pomocy Francyi, choćby tylko wrazie napaści od Renu, bez najlżejszego nawet tchnienia ku Alzacyi. Jakkolwiek zakończy się spór o Maurytanią i jej otwarte dla wszystkich wrota, które właśnie Francya zatrzasnąć pragnie, Rosya już w sporze tym nie rzuci nawet swego dyplomatycznego *quos ego* na szalę; spór musi rozstrzygnąć się pomiędzy Francyą i Niemcami, przy lekkiem, ale pewnem, współdziałaniu Anglii. Wpływ losów wojennych na politykę Prus widać i w wynurzającej się już na widnokrąg interwencyi całej Europy na Półwyspie Bałkańskim, oznajmionej przez Tittoniego; ale tu nie same tylko Prusy działają, a ostatecznie i ta zbiorowa Europa która ma zastąpić oba mocarstwa z kwietnia 1897 r. niekoniecznie kroczyć już będzie musiała wbrew Rosyi i przeciwko niej.

Zadziwiająca bezinteresowność tych Prus, które właśnie tylko na robieniu interesów z pełzającą chytrością, z nienasyconą nigdy żądzą cudzego dobra, z zimnem wyrachowaniem, z bezwzględnością i natarczywością rozbójniczą wyrosły w dzisiejszą potęgę. Niema w dziejach powszechnych, niema na całym okręgu ziemi mocarstwa, któreby tak ściśle związane było w powstawaniu i rozrastaniu się swojem z innem, odrazu mu wrogiem, i w takim stopniu siłę swoją ze ze słabości jego monarchów, z niemocy jego rządu i bezbronności jego narodu czerpało, jaką jest ta krzyżacko-brandenburska monarchia królów pruskich, dziś już na Niemcy całe zwolna się rozpościerająca, w stosunku do Polski historycznej. Każde inne państwo na miejscu Polski byłoby dotarło do Bałtyku daleko na wschód od Nogatu do Niemna; po traktacie toruńskim nie byłoby zostawiło w ciągu półwieku nawet śladów krzyżactwa świeckiego czy zakonnego na całym obszarze Prus Wschodnich. Pogróżki Karola V, jeszcze pod koniec Zy-

gmunta Starego, były czczym wiatrem wobec reformacyi, a interesa narodowości niemieckiej w XVI w. stanowiły taką jeszcze niewiadomą, że Polska mogła bezpiecznie spełniać dziejowe posłannictwo swoje: dotarcia do morza, gdy się ma już ląd ku morzu wydany. Przeklętym jest dzień 8 kwietnia 1525 r., a po nim przyszło jeszcze tyle innych, od niego gorszych, krwawiej przeklinanych. Przy rozbiorach Polski, zacieśniły się te węzły, już w projektowanym traktacie z d. 8 czerwca 1762 r. ku rozbiorowi skierowane, które w dalszych kolejach dały Prusom drugi czynnik wzrostu: trwałe poparcie, współdziałanie i wielką hojność Rosyi. Gdyby nie Polska i gdyby nie Rosya—nie byłoby Prus dzisiejszych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Do całej odyssei adm. Rożestwenskiego na przyjacielskich wodach Annamu przybywa teraz jego choroba. Podobno już d. 13 czy 14 października 1904 r. odpływał z Baltyku w stanie cierpiącym; prześladowała go jakaś anormalność wątroby, dręczył kamień. Chorym był, kiedy w nocy z d. 21 na 22 t. m. brał rybaków z pobrzeża hulskiego, łowiących węgorze, za Japończyków wyrzucających torpedy; chorym, kiedy przez trzy miesiące korzystał z przyjaźni francuskiej na wodach Madagaskaru; chorym, kiedy zatoka Kamr-anh okazywała się dłań jeszcze gościnniejszą od Nossibe, dając mu podstawę, jakiejby nigdzieindziej nie znalazł, do ostatecznego wyruszenia na wojnę; chorym nakoniec, kiedy nareszcie ubłagany przez admirała francuskiego Jonquières'a, zamieniał wspaniałe wygody zatoki powyższej na rzetelne, a nieodbicie potrzebne dla dokończenia przygotowań, usługi poblizkiej Hon-Kohe. I stamtąd niewiadomo kiedy, a nawet mimo raportów Jonquières'a, odbywającego umyślne wyprawy nadzorcze, niewiadomo czy wogóle wyruszył na pełne morze. Dn. 20 b. m. jeszcze tam okręty jego widziano.

Wskazówki znajdywane w dziennikach rosyjskich pozwalają mniemać, że nawet już w sferach urzędowych nie liczą dziś na sprawność vice-admirała jako dowódcy takiego ogromu, jakim jest sześćdziesiąt okrętów, mających przy sobie jeszcze z jakie czterdzieści węglarek — w tej chwili przynajmniej, kiedy ładowanie węgli, dokonane już dla eskadry drugiej i trzeciej, dokonywać się musi jeszcze dla eskadry czwartej, kontradmirała Nebogatowa. Jeżeli flota, od jakich dwu tygodni już połączona, zdoła się przemknąć do Władywostoku bez boju, co jest nieprawdpodobnem; jeżeli do boju zmuszona, zwycięży, co jest jeszcze nieprawdopodobniejszem,—adm. Rożestwienskij może zatrzymać nominalne dowództwo, ale rzeczywiste sprawować już będzie Nebogatow. We Władywostoku czekać ma na obu adm. Birylew, dowódzca portu kronsztadzkiego, mający lada dzień, nawet pociągiem nadzwyczajnym, wyruszyć do miejsca nowego swego przeznaczenia służbowego.

Togo wciąż jeszcze nie daje się ująć w żadne formy przestrzeni i czasu: jest jak gdyby go nie było. Podstawę ma na Formozie i Peskadorach, własności japońskiej; panuje nad kanałem Baszy, nad dostępami do Luzonu od południa. Niezawodnie wysunie się w chwili wypływu Rosyan pod Hong-Kong i dalej pod wyspę Hai-nan. Zaczynający się teraz w naturze tamtejszej strefy okres tyfonowy mniej się da we znaki Japończykom, mającym własne przystanie i warownie, niż Rosyanom, po opuszczeniu wód francuskich skazanym na bezwarunkową już niegościnność wichrów, szalejących po wód bezmiarze. Eskadra adm. Nebogatowa (4-ta m. Baltyckiego) potrzebowała po przejściu Malakki wielu napraw, tem mniejszą znajdzie w sobie oporność na niszczące działanie żywiołów. Według kap. Kłado (niegdyś Cladeau) flota japońska ma 144,000 ton zagłębienia, rosyjska 120,000; dział 12-cal. ros. jest 26, jap. 24, 10-cal. ros. 15, jap. 1, 8-cal. ros. 18, jap. 37; wogóle w mniejszym kalibrze Japończycy są dwa razy silniejsi, mają też o połowę więcej opancerzonych szybkich krążowników i torpedowców. Ogólna siła tak jednej jak drugiej strony przedstawia się porównawczo we współczynikach swoich następnie: Rosyanie: tonny 18, machiny 20, działa 18.5, pancerze 18, podstawa morska 14.5, — razem 89; Japończycy: 20, 18, 20, 20, 20 — razem 98. Nie wchodzi w to zestawienie człowiek, zdaje się, nie mniej ważny od działa i pancerza, bo sam będący działem i pancerzem wyższego rzędu. Takie są dane do sperandy.

W Europie skandal — w poniedziałek Izba gmin przypominała dobre czasy wiedeńskiej rady państwa.

Kretą nareszcie zajął się i sejm w Atenach. P. Delyanis, na gruncie traktatów, kazał czekać. Pamięta on opuszczenie Grecyi przez mocarstwa opiekuńcze w r. 1897. Kreteńczycy rozpoczęli już walkę; niedołężny książę Jerzy nie korzysta ze szczęścia, jakie mu daje historya, otwierając przed nim podwoje. Anglia też jeszcze się nie rusza.

Mowa cesarza Wilhelma o oficerach rosyjskich — pasztet strasburski—wywołała obawy w prasie niemieckiej o dobre stosunki z Rosyą. *Vossische Ztg.* swoją wolnomyślność zamyka w żądaniu cenzury ministryalnej dla przyszłych mów cesarza. Naiwność!

Po niedawnych zamieszkach w Limoges wydarzyły się teraz nowe, w Lugdunie. PP. Etienne i Rouvier wygłosili pochwały dla policyi, na którą właśnie podniesiono skargi. Porządek dzienny spełnił służbę policyjną w Izbie przeciw socyalistom. Zabrano się do rozdziału kościoła z państwem. Projekt zmieniony w pierwszem czytaniu wydaje wszystkie gmachy i uposażenia niezniesione w bezwłoczne i nieograniczone posiadanie gmin i większych zrzeszeń (z *maximum* 10 departamentów).

Na Węgrzech nowa wyprawa po gabinet powierzona ponownie p. Andrassemu. Burian, wspólny minister skarbu, pośredniczył; rozmawiał z Kossuthem. Wierzą w powodzenie—dzieci.

W Serbii przesilenie gabinetowe.

W Jemenie Turcy bici przez powstańców z Sany.

Dn. 30 b. m. przyjeżdża do Paryża w odwiedziny król Alfons XIII, syn ułana niemieckiego, a sam już generał angielski; żeni się z ks. Connaught. Socyaliści paryscy mają go przyjąć wrogo.

---

3)

OSKAR WILDE.

Ballada więzienia

W READING.

(Ciąg dalszy).

I nie były to duchy powietrzne, te cienie dziwaczne, które tak wesoło dokoła igrały; dla tych, których istnienie zamknięto w kajdany, i których nogi nie mogły poruszać się wolne, o rany Chrystusowe! to były istoty żywe, straszne do oglądania!

Wkółko, wkółko krążyły i wirowały, niektóre łączyły się parami, inne drobnym krokiem niby skromnisie muskały wschody, a każda z wyrazem lekkiego szyderstwa i pieszczotliwość w spojrzeniu pomagała nam w naszych modłach.

Wiatr poranku począł już zawodzić, ale noc jeszcze nie ustępowała: na jej wielkim warsztacie nitka za nitką, aż do ostatniej, snuła się tkanina ciemności; a nas, modlących się, ogarniała bojaźń sprawiedliwości słońca.

Wiatr jękliwie krążył w głębi zapłakanych murów więziennych; jak obracające się koło stalowe wydała nam się każda minuta pełzająca. O wietrze jęczący! za cóżeśmy zasłużyli na takiego mistrza ceremonii?

Nakoniec cień prętów, niby kraty okiennej, urobionej z ołowiu, padł na wapnem bielony mur naprzeciw mego łóżka z trzech desek, i dał mi wiedzieć, że gdzieś w świecie straszny świt dnia wstawał czerwony.

O szóstej zamietliśmy nasze cele, o siódmej wszędzie był już spokój; lecz szum i pęd potężnego skrzydła zdawał się wypełniać więzienie, gdyż władca śmierć o lodowatem tchnieniu wszedł, aby zabijać.

Nie przybywał odziany uroczystą purpurą, ani siedzący na księżycowej bieli rumaku. Trzy metry sznura i ruchoma deska—oto wszysto, czego potrzebuje szubienica; więc z powrozem hańby występował herold, ażeby dokonać tajemnego swego czynu.

* *

Byliśmy jako ludzie, idący po omacku po przez plugawe trzęsawisko; nie śmieliśmy modlić się tchnieniem, ani dać woli naszej udręce; w każdym z nas coś było umarło, a to co umarło, to była nadzieja.

Gdyż straszna sprawiedliwość ludzka swoją kroczy drogą i ani na chwilę nie chce z niej zboczyć: ona zabija słabego i zabija mocnego — nieugięta w swym pochodzie, stopą żelazną miażdży mocnego, do potworna bratobójczyni.

* *

Wyczekiwaliśmy uderzenia ósmej, język każdego skołowaciały pragnieniem, gdyż uderzenie ośmiu było uderzeniem przeznaczenia, przekleństwem skazującem człowieka. A przeznaczenie używa ruchomego węzła tak dla najlepszego, jak dla najgorszego człowieka.

I nic ponad wyczekiwanie znaku, który miał nastąpić, nie było w naszej mocy; więc jak posągi z kamienia w samotnej dolinie siedzieliśmy milczący i nieruchomi; ale serce każdego z nas uderzało prędko i mocno, jak szaleniec walący w bęben.

* *

Nagle dźwięk zegara wstrząsnął drgającem powietrzem; całe więzienie objął jeden jęk bezsilnej rozpaczy, jak głos dotkniętego trądem, który wybiegł z legowiska i strachem przejmuje słuchające mokradła.

I jak najstraszniejsze rzeczy można oglądać w przezroczu sennem, tak ujrze-

ŻYCIE SPOŁECZNE

Miasto analfabetów.

Ciekawe, choć nienowe dane cyfrowe podaje p. Suligowski w broszurce swojej p. t. „Miasto analfabetów". Dziś, kiedy każdy na swój sposób rozprawia o samorządzie, bardzo na czasie przychodzi przypomnienie stanu oświaty elementarnej. A więc: spis jednorazowy w 1897 roku wykazał w Warszawie 142,655 mężczyzn (47,70%) i 175,539 (51,39%) kobiet analfabetów — razem 318,194 osob. Liczba ta nabiera jeszcze więcej plastyki przy zestawieniu z innemi miastami. Petersburg podług tegoż samego spisu liczył analfabetów mężczyzn 28,2%, kobiet 48,5%, Moskwa posiadała wtedy analfabetów mężczyzn 33,1%—kobiet 57,7%. Przewyższa Warszewę Łódź, licząca wśród mężczyzn 55% analfabetów i wśród kobiet 66%. Przyczyn chyba nie potrzeba daleko szukać. Umyślne podtrzymywanie ciemnoty, ogłupianie szerokich mas ludności, tamonie im dostępu do światła — było konsekwentnym wynikiem panującego porządku rzeczy.

Idźmy dalej. W Warszawie dzieci, uczęszczające do szkół początkowych w stosunku do ludności stanowią 1,5%, w Cesarstwie 2,1%, w Królestwie 2,1%. Cyfra silnie wzrasta skoro przejdziemy do Europy Zachodniej. W Holandyi procent ten wynosi 19,3°/o, we Francyi 19,5°/o, w Prusach 17,1°/o, nawet w osławianych z nizkiego poziomu kultury Włoszech 8,20°/o,—w Krakowie w 1897/8 do szkół ludowych chodziło 11,5°/o ludności.

Warszawa od kilkudziesięciu lat zostawała pod specyalnie niezachodnią opieką oświatową. Obecnie tylko 48.870 dzieci nie ma się gdzie uczyć. A jednak i to okazało się widocznie za mało skutecznem— idee nieproszonych opiekunów znalazły niespodziewany opór... Jeszcze parę cyfr, parę cytat: „W ciągu 18 lat liczba szkół początkowych w Rosyi europejskiej powiększyła się w trójnasób przeszło, w Królestwie zaś zaledwie o 60%, zatem przyrost był aż pięć razy słabszy..." W 1897 r. Warszawa z funduszów miejskich wydała na cele naukowe 156,279 rb., a z tego na szkoły początkowe 112,069 rb., czyli 24 kop na głowę ludności (Petersburg 70 kop., Moskwa 70 kop., Ryga 75 kop., Odessa 85 kop.) A na Zachodzie: Paryż wydaje 8 rubli 50 kop. na głowę, Bruksela 6 rb. 30 kop., Lipsk 6 rb. 60 kop., Berlin 4 rb. 50 kop., Kraków 2 rb., Lwów 3 rb. 20 kop. Wahanie niewielkie: wielki Paryż *8 rb. 50 kop.* — mały Paryż aż *24 kop.* Dziś Warszawa powiększyła swą hojność — w 1902 r. na szkoły ludowe wydała 253,070 rb. 51 kop. (45 kop. na głowę) a w 1905 r. — na policyę—przeszło milion rubli. I my się cywilizujemy. I u nas są przecie dbający o potrzeby kulturalne — ludności.

Dosyć będzie przypuszczam na razie tych cyfr. Nie są one niespodzianką, każdy o nich dobrze wiedział, i każdy wiedział, że było to zło nieuniknione, i że nikt, kto nie chciał narazić się na poważne niebezpieczeństwo, nie mógł myśleć o podniesieniu oświaty. Słusznie p. Suligowski wykazuje wady systemu szkolnego; niewiele mieliśmy szkół, a te któreśmy mieli nie odpowiadały najniższym wymaganiom. Nie będę o tych rzeczach więcej się rozwodził, gdyż jest to zbyt tragicznie jasne, aby potrzebowało przypominania. Obojętni nie byliśmy, nie zapominaliśmy ani na chwilę o ważności wykształcenia początkowego, lecz jako bierni świadkowie patrzyliśmy bezczynnie, jak poziom oświatowy malał ku zadowoleniu wielbicieli ciemnoty.

Kwestyę szkół załatwiano u nas biurokratycznie. Od czasu do czasu otwierano jakąś uczelnię. Dopuszczenie do nauki uważano za wielką łaskę. I to nietylko w szkołach początkowych. Wiadomo, jak wiele przykrości muszą znieść rodzice, starający się umieścić dziecko w jakim zakładzie naukowym. Za zasadę przyjęto traktować ich, jak żebraków. Gdzie w szkolnictwie prawem zwyczajowem uświęcone są takie zasady, tam chyba innych danych statystyka przynieść nie może.

Dziś wszyscy — zachowawcy i radykali, starzy i młodzi, ci u góry i ci u dołu zapowiadają zmiany w życiu społecznem. Narady co do „ziemstw" rozpoczęto, obiecują samorząd miejski. Kwestya to dla oświaty nader ważna. O ile samorząd nie będzie pustą formułką, a istotnie dopuszczeniem społeczeństwa do udziału w rozstrzyganiu o najżywotniejszych potrzebach ludności, to oświata ludowa musi wysunąć się naprzód, musi stanowić jeden z pierwszych punktów pracy.

Nie łudzę się bynajmniej, aby sprawa ta stanęła tak, jak to jest mym ideałem. Wiem doskonale, że proza życiowa skazuje — nasze poczynanie na połowiczność. Poszczególne części stanowią nierozerwalną całość, i tylko przemiana tej całości może przynieść ostateczne rozwiązania pojedyńczego zagadnienia. Lecz z drugiej strony robota, mająca za cel ostateczny tę zmianę, musi opierać się na dokonywaniu ulepszeń lub przeistoczeń radykalnych w częściach poszczególnych. Tylko niewolno zapominać o celu ostatecznym.

Wszelka szkoła, aby odpowiedziała potrzebom ludności, nie jednej klasy czyli tak zwanego mieszczaństwa (a o tem u nas przeważnie myślą) musi być dostępna dla wszystkich, bezpłatna i odpowiadająca potrzebom kulturalnym całego społeczeństwa.

Aby spełnić swoje zadanie szkoła powinna posiadać nauczycieli-obywateli, którzyby wychowywali młodzież w duchu ideałów klasy pracującej. Cały system dzisiejszy, jako oparty na nietolerancyi, klasowości i braku szerszych horyzontów jest z gruntu wadliwy. O tem należy pamiętać przy omawianiu potrzeb przyszłego samorządu. Czas też pomyśleć o wypracowaniu planu szkolnictwa.

Skoro do spraw oświatowych dopuszczone będzie społeczeństwo, praca naturalnym biegiem rzeczy przejdzie w ręce tych, którzy szczerze poczuwają się do obowiązku szerzenia światła dla miłości tych, dla których z tem światłem idą. Należy więc szykować się do pracy, aby ogół nie dał się obałamucić frazesowiczom, głoszącym zmurszałe hasła, bo wtedy szkoła będzie opuszczona, a działaczy spotkamy tylko na bance.

---

liśmy naoliwiony sznur konopny przyczepiony do zczerniałej deski i usłyszeli słowa modlitwy ręką kata w jeden krzyk ściśnięte.

A ból, który mu wydarł ten krzyk straszny i żal dziki, i krwawe udręczenie ja tylko jeden mogłem zrozumieć. Bo ten, kto przeżywa więcej niż jedno życie, musi umierać więcej niż jedną śmiercią.

IV.

W ten dzień, kiedy wieszają człowieka, niema nabożeństwa w kaplicy; serce kapelana jest zbyt chore lub twarz zbyt wybladła, albo też w oczach jego maluje się to, czego tam nikt widzieć nie powinien.

Więc trzymali nas w zamknięciu prawie do samego południa i dopiero wówczas uderzyli w dzwon, a dozorcy brzęcząc kluczami otwierali każdą nadsłuchującą celę; jeden za drugim, opuszczając swe oddzielne piekła, ciężko zstępowaliśmy po żelaznych schodach.

Na świat boży wyszliśmy, na powietrze, lecz nie tak, jak to bywało w zwyczaju; gdyż jeden miał twarz jak płótno białą od strachu, drugiemu ona całkiem poszarzała, i nigdy nie widziałem ludzi smutnych z takiem naprężeniem w światło dnia wpatrzonych.

Nigdy nie widziałem ludzi smutnych z takiem udręczeniem wpatrzonych w ten namiot z błękitu, który my więźniowie nazywaliśmy niebem, w każdą błędną chmurkę, w szczęsnej przesuwającą się wolności.

Ale między nami byli i tacy, których głowy pochyliły się nizko, którzy wiedzieli, że gdyby wymierzano według słuszności, oni pierwsi na śmierć iść byli powinni: gdyż on zabił tylko to co żyło, a oni zabili umarłe.

Albowiem ten, kto grzeszy po raz drugi, duszę już umarłą powołuje na męki, dobywa ją z jej całunu i na powtórne krwawienie skazuje, na krwawienie wielkiemi kroplami, na krwawienie nadaremne!

* *
*

Jak małpa lub błazen cyrkowy potwornie przybrani, krzywemi strzałami ugwoździeni, milcząc, chodziliśmy wkółko dokoła obśligzłego asfaltu podwórza; milcząc, chodziliśmy w kółko i w kółko a nikt nie wyrzekł jednego słowa.

Milcząc chodziliśmy wkółko, wkółko, a poprzez pustkę myśli każdego pamięć rzeczy przerażających gnała, jak wicher straszliwy, przed którym szła groza a strach czogał się za nim.

* *
*

Dozorcy chodzili tam i nazad, pilnując swego stada bydląt; mundury na nich były nowe, szaty niedzielne, ale myśmy dobrze wiedzieli, od jakiej wracali oni roboty: wydało ich wapno niegaszone na butach.

Bo tam, gdzie grób rozwarł się był szeroko, nie było grobu wcale — tylko pod wstrętnym murem więzienia kawałek ziemi błotnistej i piasku, niewielki wzgórek wapna niegaszonego, które miało człowiekowi służyć za całun.

Bo ten nieszczęsny ma całun, jakim niewielu z ludzi poszczycić się może: nagiego na większe pohańbienie położono w dół głęboki na końcu podwórza więziennego, położono z kajdanami u każdej nogi, owinąwszy w prześcieradło ogniste.

(d. n.)

przekł. z angielskiego.

kietach i uroczystościach. Tam gdzie idzie o zmudną, ciężką pracę, o nie efektowne, uciążliwe, mrówcze oddziaływanie, tam miejsce tylko dla ludzi gorącego serca i jeszcze gorętszej wiary w owoce oświaty. Mus społeczny usunie wszelkie piany wierzchnie i powoła cichych pracowników do siejby i orki. Aby to ułatwić, należy dbać aby, gdy zawołają: pójdźcie ku nam z pochodnią prawdziwej wiedzy,—szeregi pracowników były gotowe.

Cyfry, zebrane przez p. Suligowskiego są straszne, ba jeszcze straszniejszem jest sięganie po ster rąk, zupełnie niepowołanych. Skoro mają być zmiany to niech będą na lepsze. Zmiany szyldów nie zaspokoją nikogo. Tylko z udziałem całej ludności da się rozwiązać sprawę szkolnictwa w kierunku pożądanym. *xy.*

LISTY GALICYJSKIE.

Akademia Umiejętności. — Zdobycie kasy chorych w Drohobyczu. — Nowa ustawa Rady szkolnej krajowej.

W tych dniach odbyło się uroczyste zebranie doroczne najwyższej naszej instytucyi naukowej—Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok ubiegły był dla niej pomyślny pod względem finansowym, gdyż z jednej strony została podwyższona dotacya z funduszów państwowych o 10 000 k., z krajowych zaś o 18.000 k., z drugiej — na rzecz Akademii wpłynęło kilka dość wysokich zapisowych darów. Pomiędzy tymi ostatnimi wybitne miejsce zajmuje ofiara Feliksa hr. Sobańskiego, który złożył Akademii 100,000 marek w postaci 100 akcyj Banku poznańskiego. Jednocześnie został zrealizowany olbrzymi zapis stypendyalny W. Orłowskiego, posiadający bardzo wielkie znaczenie dla uczonych polskich.

Zmarły w r. 1893-m w Paryżu Wiktor Orłowski, b. oficer wojsk polskich z roku 1831-go, ustanowił fundacyę edukacyjną w wysokości przeszło miliona koron dla przygotowywania młodych Polaków na profesorów polskich uniwersytetów w Krakowie i Lwowie, oraz politechniki lwowskiej. Po długich korowodach prawnych, po odrzuceniu pretensyj krewnych zmarłego fundacya ta nareszcie weszła w życie i Akademia krakowska przyjęła na siebie jej zarząd. Po wieczne czasy mieć ona będzie nazwę „Fundacyi edukacyjnej ś. p. Wiktora Orłowskiego." Dziesięć procent od sumy, uzyskanej z odsetek od jej walorów, Akademia będzie obracała na opędzenie wszystkich kosztów z zarządem i ze spełnieniem zadań fundacyi połączonych. Pozostała reszta odsetek będzie użyta na udzielanie 5 (na razie) stypendyów rocznych po 5000 koron. Stypendya te będą przyznawane przez komitet przedstawicieli wszystkich czterech instytucyj—Akademii, obu uniwersytetów i politechniki lwowskiej. Zarząd Akademii corocznie będzie ogłaszał konkurs z terminem czterotygodniowym do wnoszenia podań. O nadanie stypendyum ubiegać się mogą jedynie ci docenci uniwersytetów w Krakowie, Lwowie i politechniki lwowskiej, nauczyciele lub zastępcy nauczycieli w gimnazyach i szkołach realnych w kraju, czy też zagranicą, którzy są narodowości polskiej, władają należycie mową polską, nie przekroczyli 40 lat wieku, i ukończywszy uniwersytet lub politechnikę w kraju czy zagranicą ze stopniem akademickim, zamierzają się kształcić na profesorów dla wyższych zakładów naukowych z polskim językiem wykładowym w Galicyi.

Jedna część odsetek od walorów fundacyjnych, zgodnie z wolą zapisodawcy, będzie obracana na ogłaszanie drukiem prac naukowych tych osób, które otrzymały stypendya im. Wiktora Orłowskiego; inna pójdzie na zapomogi roczne po 1400—1800 koron dla młodych, wykształconych docentów narodowości polskiej, powracających po zupełnem ukończeniu swoich studyów do kraju, którzy płatnej posady jeszcze nie otrzymali. Reszta corocznie w dwu częściach równych będzie rozdzielona między laboratorya uniwersytetu krakowskiego i laboratorya uniwersytetu we Lwowie. Pobór tych odsetek ma się odbywać w ten sposób, że w pierwszym roku otrzymają pracownie połączone z katedrą fizyki, w drugim pracownia połączona z katedrą fizyologii, w trzecim pracownia mineralogiczna i botaniczna, w czwartym—botaniczna i zoologiczna, w piątym pracownia połączona z katedrą chemii. Wsparcie to może być obracane na zakup nowych przyrządów naukowych lub materyału niezbędnego do badań.

Fundacya im. Wiktora Orłowskiego przyczyni się niewątpliwie do podniesienia poziomu naszych badań naukowych, jeżeli stypendya będą rozdzielane w celach przewidzianych przez zapisodawcę, a nie dla ułatwienia wszelkim miernotom z familij profesorskich dziedziczenia katedr bez względu na kwalifikacye naukowe.

Zwiększenie się funduszów Akademii pozwoliło jej na wybitniejszą działalność w roku ubiegłym. Przerwane przez śmierć d-ra Jana Karłowicza wydawnictwo „Słownika gwar polskich" zostało na nowo podjęte, dzięki współdziałaniu rodziny, która w myśl testamentu zmarłego uczonego zobowiązała się opłacić koszty przygotowania do druku tej publikacyi pamiątkowej. Podjęte przez Akademię olbrzymie wydawnictwo „Encyklopedyi Polskiej" zostało przekazane osobnemu komitetowi z dr. Bobrzyńskim na czele. Prace postępują dość szybko; program publikacyi, obliczony na 500 arkuszy druku, jest już ustalony, a obecnie układa się lista współpracowników. Koszta wydawnictwa obliczono przeszło na 200,000 koron, przyczem Akademia spodziewa się, że społeczeństwo poprze to przedsięwzięcie, mające być pracą epokową w dziedzinie wszechstronnego krajoznawstwa polskiego. Senat uniwersytetu krakowskiego pierwszy wystąpił z inicyatywą w tym kierunku, przeznaczając na początek z czystych dochodów drukarni uniwersyteckiej na cele „Encyklopedyi" jako pierwszą ratę większej subwencyi kwotę 20,000 koron. Prace nad „Słownikiem Staropolskim" postępują nieprzerwanie. Zebrano już około 85,000 wyrazów. Zasłużony historyk p. Aleksander Jabłonowski wydał przy pomocy Akademii cenny atlas historyczny Rzeczypospolitej: „Ziemie ruskie na przełomie XVI wieku". Zupełnie niewiadomo po co przystępuje Akademia do wydania greckich ojców kościoła z IV wieku. Jak nadmienił sekretarz generalny Akademii, p. Bolesław Ulanowski, jest to spełnienie życzeń wielu członków, którzy pragnęli przez podjęcie pracy ogólnego znaczenia wprowadzić najwyższy polski zakład naukowy w styczność z naukowym ruchem europejskim. Czy wydanie dzieł greckich ojców kościoła jest najlepszą ku temu drogą, bardzo o tem wątpić można. Jako okoliczność łagodzącą można chyba podawać, że specyalnie na tę publikacyę Akademia otrzymała 10,000 kor. od hr. Augusta Cieszkowskiego. W ten sposób może ona bronić się przed zarzutem, że kosztem niezaspokojenia krzyczących braków nauki polskiej podejmuje wydawnictwa zbytkowne i zupełnie dla nas zbyteczne.

Ruch naukowy i wydawniczy we wszystkich wydziałach Akademii był w roku sprawozdawczym bardzo ożywiony. Wydział filologiczny wydał oprócz dwóch tomów „Rozpraw" XX tom „Bibliografii polskiej" Estrejchera „Studya do dziejów literatury średniowiecznej" Porębowicza, „Pogląd na literaturę polityczną we Francyi od r. 1302 do Henryka IV" i wiele innych rzeczy mniejszych. Komisya językowa przygotowała do druku „Teksty białoruskie z powiatu nowogrodzkiego" Klicha, i „Dyalekty polskie Prus Zachodnich" Nitscha. Komisya literacka przygotowała materyał do trzech, będących na ukończeniu tomów: „Archiwum do dziejów literatury i oświaty", w „Bibliotece pisarzów polskich" wybrano „Orlanda Szalonego" w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Wydział historyczno-filozoficzny ogłosił oprócz dwóch tomów „Rozpraw", ogromnie cenne „Szkice z XI wieku" prof. T. Wojciechowskiego i studyum J. Tretiaka o Juliuszu Słowackim. Z ramienia tego wydziału pracowała złożona z czterech osób ekspedycya w archiwach rzymskich, gromadząc materyały i dokumenty historyczne. Inne wydziały i komisye też pracowały w swoim zakresie. Biblioteka Akademii posiada obecnie 55,636 tomów.

Nagrody Akademii Umiejętności z fundacyi Barczewskiego po 2240 koron otrzymali dr. Józef Tretiak za monografię „Juliusz Słowacki" i profesor Pochwalski za portret Filipa Zalewskiego. Nagrodą z konkursu ks. Adama Jakubowskiego na temat „Mikołaj Rej. Historya jego życia i działalności literackiej" w kwocie 1400 koron otrzymał prof. A. Brückner. Wykładem prof. Rostafińskiego o pamięci zakończyło się tegoroczne uroczyste posiedzenie Akademii, nie budzące, po za kołami jego członków i osób bezpośrednio zainteresowanych większego zajęcia. Tak samo bowiem jak i inne Akademie, najwyższa nasza instytucya naukowa, zasklepiła się w sobie, nie posiada żywszego zetknięcia z szerszym ogółem i bardzo mało ten ogół interesuje. Czy takie położenie Akademii, zrozumiałe może w społeczeństwach innych, posiadających po za Akademiami mnóstwo innych ognisk pracy naukowej, jest u nas normalne, można o tem wątpić. Przydałoby się w każdym razie Akademii naszej trochę świeżego powietrza.

Walka o kasę chorych w Drohobyczu zakończyła się całkowitem zwycięztwem robotników. Zwycięztwo to ma większe znaczenie od zdobycia innych kas chorych ze względu na stosunki, panujące w tem mieście—stolicy terenu naftowego Podkarpacia. Drohobycz—to klasyczne gniazdo bogaczów, którzy dzięki spekulacyom i „szczęściu", dorobili się olbrzymich majątków, choć jeszcze wczoraj byli drobnymi handlarzami, szynkarzami, pachołkami w propinacyach. Pisarz rusiński Iwan Franko—w zaraniu swej działalności literackiej uwiecznił te typy dorobkiewiczów drohobyckich i borysławskich z nieporównaną plastyką. Jednym z takich typów jest wiceburmistrz Drohobycza—Jakób Fenersztein. Człowiek ten z prostego faktora stał się panem całego Drohobycza, choć zaledwie umiał czytać i pisać. Szczęśliwe spekulacye zrobiły go posiadaczem milionów, — te zapewniły mu panowanie nad miastem i jego mieszkańcami. Fenersztein ma w ręku starostę Babczyńskiego, który skwapliwie spełnia jego rozkazy. Wszelkie wybory się przeprowadzane tak, jak sobie tego życzy pan wiceburmistrz. Nikt nie ważył się sprzeciwiać woli butnego dorobkiewicza, chociażby była zwykłym kaprysem, gdyż potrafił on dopiec opornym. Za jego wpływem przenoszono urzędników do innej miejscowości lub mianowano takich, których on sobie życzył. Kogo nie mógł sterroryzować, tego ujmował pożyczkami i łapówkami.

W kasie chorych Fenersztejn był zupełnym panem, ale jednak panowanie to obecnie skończyło się. Robotnicy ośmielili się targnąć na najwpływowszą w Drohobyczu osobistość i przełamali jej znaczenie. Co

prawada, walka była niesłychanie energiczną. Z chwilą rozpisania wyborów, poczęto zwoływać mnóstwo zgromadzeń publicznych i poufnych dla wszystkich robotników fabryk, rafineryi, tartaków i cegielni. I oto w dzień wyborów cały Drohobycz stanął jakby w święto uroczyste. Robotnicy szli ławą i cała ich lista przeszła olbrzymią większością głosów, pomimo wysiłków i rozmaitych sztuczek Ferensztejna i jego kliki. Jest to pierwsza klęska tej mafii, ale wpłynęła ona bardzo ożywczo na ogół mieszczaństwa drohobyckiego, które zrozumiało, że jednak solidarnie działająca organizacya potrafi walczyć i z Ferensztejnem.

Swieżo weszła w życie nowa ustawa Rady szkolnej krajowej, uchwalona w swoim czasie przez sejm galicyjski. Sam fakt oparcia najwyższej, nowej magistratury szkolnej nie na rozporządzeniu cesarskiem (jak tobyło dotychczas), które każdej chwili mogłoby być cofnięte, lecz na trwałej podstawie ustawowej jest postępem. Ale żałować należy, że postęp ten został osiągnięty kosztem zmniejszenia charakteru samorządnego Rady szkolnej krajowej. W nowej bowiem ustawie całkowicie niemal zatracono swobodę wybieralności członków Rady szkolnej krajowej, natomiast wprowadzono instytucyę członków mianowanych na propozycyę bądź namiestnika, bądź Wydziału krajowego. Nowa więc Rada będzie się składała z referentów administracyi szkolnej (urzędników namiestnictwa), krajowych inspektorów szkolnych oraz delegatów. Z tych ostatnich tylko pięciu jest wybranych — trzech z Wydziału krajowego, a dwóch z miast — Krakowa i Lwowa. Resztę mianuje cesarz. Z tych trzech delegatów duchowieństwa katolickiego (trzech obrządków), jednego wyznania ewangelickiego i jednego izraelskiego, cesarz mianuje na wniosek ministra wyznań i oświaty, a sześciu zawodowych znawców szkolnictwa — na wniosek Wydziału krajowego. Niema wątpliwości, że zatwierdzeni zostaną ci, kogo się poleci, ale w każdym razie zasadzie autonomii stała się znowu krzywda—i to z winy tych właśnie, którzy siebie za najwyższych „autonomistów" ogłaszają.

Daleki.

Kazimierz Mokłowski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

I znowu przerzedził się szczupły zastęp pracowników na polu kultury polskiej i działalności społecznej. Z ulic Lwowa znikła bezpowrotnie charakterystyczna postać olbrzymiego mężczyzny, który kulejąc, szybkim krokiem podążał naprzód w swym kapeluszu o szerokich kresach, nasuniętym na rozwichrzoną czuprynę. Z widowni pracy społecznej, od warsztatu nauki polskiej przez śmierć okrutną porwany został w kwiecie wieku Kazimierz Mokłowski...

Zmarły był jednym z tych duchów mężnych a upartych, które przez całe swe życie szły, walcząc, pomimo przeciwieństw, pomimo nędzy i prześladowań, nie opuszczających ich do końca. Człowiek, którego imię z ogromną miłością wymawiały tysiączne rzesze ludu pracującego Lwowa, człowiek, którego praca „Sztuka ludowa w Polsce" odrazu postawiła w szeregu umysłów przewodnich społeczeństwa, poniewierał się przez całe niemal życie, jedząc gorzki chleb tułaczki, borykając się z nędzą od dzieciństwa.

Urodzony w ubogiej rodzinie oficyalisty prywatnego w Kosowie, Mokłowski kształcił się w gimnazyum stanisławowskim, a potem na politechnice lwowskiej. Ale rychło musiał kraj opuścić, gdyż relegowano go za udział w pracy niedozwolonej studentom. I oto widzimy go w Zurychu, następnie w Berlinie, gdzie, nie przerywając studyów zawodowych, redaguje „Gazetę Robotniczą", aby wkrótce już przenieść się do Monachium, gdyż policya pruska obawiała się jego wpływu i kazała mu opuścić stolicę krzyżactwa nowoczesnego.

Po ukończeniu studyów architektury Mokłowski powraca do kraju i rzuca się w wir walki pod temi hasłami, którym hołdował od ław szkolnych gimnazyum stanisławowskiego. A jednocześnie całą swą duszą artystyczną pogrążył się w badaniu historyi sztuki ludowej. Działalność społeczna i walka polityczna z jednej strony a praca artysty-uczonego z drugiej wypełniały życie Mokłowskiego. Pierwszej poświęcił wszystkie swe siły, całą swą energię niepożytą, druga była dlań odpoczynkiem po trudach działacza społecznego.

Niestety, ciężka choroba wcześnie poczęła go nękać. Amputowano mu nogę. Nie mając już tyle siły, aby pracować wśród mas tak, jak dawniej, Mokłowski z tem większym zapałem poświęca się badaniom naukowym. Opracowywa „Historyę stylów w Polsce", pisuje artykuły do tygodników (między innymi i do „Prawdy"). Ale choroba czyniła szybkie postępy — i oto dnia 14-go maja zabrakło społeczeństwu jednego z najcenniejszych jego członków. Olbrzymie tłumy smutnych robotników, odprowadzające go na cmentarz, gorące a pełne bezgranicznego bólu mowy jego współtowarzyszów nad grobem świadczyły wymownie, jak ciężką ponieśliśmy stratę...

W.

PRÓBA SPOŁECZNEJ statystyki wyborów.

Podczas gdy przekonanie, że *tajność* głosowania, dozwalająca nawet ludziom ekonomicznie zależnym przez wrzucenie do urny wyborczej zwiniętej kartki anonimowej bodaj raz na łat parę wypowiedzieć się swobodnie i czynem poprzeć swą wiarę polityczną, stanowi konieczne dopełnienie praw obywatelskich i coraz więcej zdobywa zwolenników, tak dyskretna przy całej swej wymowności urna wyborcza staje się przedmiotem coraz to natrętniejszych badań, usiłujących zedrzeć z niej zasłonę narzuconą przez polityka. Im szersze kręgi zatacza prawo tajności w praktyce wyborczej, tem usilniejszem staje się parcie badaczy stosunków społecznych na tajemnicą okrytą konstytucyę a wynik głosowania, ujawniający *kto* z urny wyszedł, jako mąż zaufania pewnego odłamu obywateli, wydaje im się niemym i pustym, dopóki się nie dowiedzą, *kto* nań głos swój oddał i jakie warstwy ludności grupują się dokoła ludzi pewnych haseł i programów.

Olbrzymi wzrost głosów, oddanych w Niemczech partyi społeczno-demokratycznej przy ostatnich wyborach do parlamentu, uczynił kwestyą palącą pytanie o społeczny skład wyborów, narzucające się już nietylko teoretykowi, lecz każdemu politykowi praktycznemu. Zapragnięto teraz wiedzieć w szeregach własnych i cudzych—czy trzecia część wszystkich wyborców w Niemczech, która swą kartką założyła protest przeciw istniejącemu porządkowi, w stosunkach swych życiowych czerpie naturalne poczucie solidarności z dążeniami partyi robotniczej, czy też protest ten był tylko wyładowaniem ogólnej niechęci żywiołów rozmaitych, mogących w przyszłości rozpaść się znowu na różne obozy.

Wobec szczupłych danych niemieckiej statystyki wyborczej, która badając wynik wyborów, siłę partyj i stosunkową ilość głosów, oddanych na kandydatów poszczególnych partyj według krajów, prowincyi, okręgów wyborczych, rozdziela je na gminy wiejskie, miejskie i stolice i unika jak najstaranniej wszelkich kombinacyj ze statystyką społeczną—odpowiedzi na to pytanie, prócz dowolnych szacowań, nie było wcale. Najwybitniejsi statystycy wątpili o możności wypełnienia tej — zdaje się z góry obmyślanej—luki w wydawnictwach urzędowych, dlatego też praca dr. Blanc'a „Społeczny skład wyborców społeczno-demokratycznej partyi w Niemczech *) zasługuje na tem większą uwagę.

Pierwszy rzut oka na cyfry nie usuwa wcale możebności czysto robotniczego charakteru wyborców społeczno-demokratycznych w Niemczech. Liczba ich bowiem wynosiła 3,010,771 = 31,7% ogólnej ilości oddanych głosów, zaś robotników, zajętych w przemyśle — licząc w to już robotników budowlanych, górników i hutników—daje 4,963,400. Ale cyfra ta, pozwalająca przypuszczać możebność jednolitej przynależności klasowej wyborców niemieckiej partyi społeczno-dem. musi natychmiast uledz poprawce. Prawo wyborcze warunkowane jest ukończeniem 25 lat życia, wobec tego — według cyfr statystyki zawodowej — tylko 58,3% ogółu męzkich robotników przemysłowych = 2,896,149 głosować może. Liczba ta jest znów mniejszą od liczby głosów społ.-dem. lecz jeżeli doliczymy tutaj 552,074 robotników, zajętych w handlu i komunikacyi a uprawnionych do głosowania, to pierwotna możebność znów nie jest usunięta—gdyż suma wynosi teraz 3,448,223.

Ilu obywateli, posiadających warunki zostania wyborcami, bywa opuszczonych przy układaniu listy wyborczej z powodu nieuwagi władz lub opieszałości własnej, na to brak zupełnie danych. Urzędowa statystyka podaje natomiast procentowy stosunek wyborców, którzy z przysługującego im prawa głosowania korzystają rzeczywiście. Podczas ostatnich wyborów w Niemczech był on niezwykle wysoki 76% ogółu uprawnionych. Czy w klasie robotniczej ten stosunek odpowiadał ogólnemu przecięciu — trudna odpowiedź. Ważą się tutaj dwie przeciwne tendencye. Termin wyborów bywa zazwyczaj naznaczanym na dzień powszedni, lokal wyborczy umieszczony jest częstokroć daleko od miejsca pracy, której również dowolnie przerywać nie można, dlatego też udział w wyborach bywa robotnikowi utrudniany okolicznościami małoważnymi dla ludzi społecznie niezależnych. Ale zato pewne — w Niemczech znaczne — odłamy robotnicze mają tyle uświadomienia politycznego i energii społecznej, że pomimo przeszkód zwartą masą głosują i wypełniają deficyt spowodowany wymienionymi wyżej przeszkodami. Na ogół zatem można przypuścić z Blanc'iem, że stosunkowo, jeżeli nie więcej, to i nie mniej niż 76% ogółu uprawnionych robotników staje do urny wyborczej. Wobec tej nowej poprawki ilość głosów robotniczych, oddanych przy wyborach z r. 1903 wogóle wynosi nie więcej nad 2,620,649.

Zestawienie cyfr urzędowej statystyki wyborów ze statystyką zawodową wykazuje, że w rozmaitych prowincyach stosunek między ilością głosów oddanych partyi społ. dem., a liczbą mieszkańców rozmaicie się układa. I tak: Śląsk wykazuje — 36,2% ludności przemysłowej a 24,6 głów społ. dem.; prowincye nadreńskie—47,9, ludno-

*) Sombarta Archiv für Socialwissenschaft und Socialpolitik B. XX. Heft. 3.

ści przemysłowej, a 20,9 głosów społ. dem.; Westfalia — 50,8 ludności przemysłowej, a 24,7 głosów społ. dem., podczas gdy w innych okręgach ilość głosów społ.-dem. przeważa znacznie liczbę ludności robotniczej. Okręgi o ludności przeważnie katolickiej mimo znacznego nawet rozwoju przemysłowego wykazują stale deficyt w głosach społ.-dem., tak że w Niemczech nie da się zaprzeczyć pewnego związku między wyznaniami i przekonaniami politycznymi. Wobec tego przyjąć tu trzeba, że pewna część robotników katolickich nie głosowała na kandydatów społeczno-demokratycznych—jak również od ogólnej sumy robotniczych głosów odliczyć wypadnie członków ewangelickich stowarzyszeń robotniczych i Hirsch-Duncker'owskich związków zawodowych, obejmujących parę kroć robotników.

Z tą poprawką można przypuścić, że partya społeczno-demokratyczna ma nie więcej nad $^2/_3$ wszystkich głosów robotniczych, 1,747,095, czyli że w ogólnej sumie wyborców partyi społ.-dem. w Niemczech w r. 1903 znajdowało się 1,263,676 nie-robotniczych głosów.

Uwzględnić wszakże trzeba, że to obliczenie opierało się na statystyce zawodowej z r. 1895. Jak dalece od tego czasu wzrosła liczba robotników, na pewno wiedzieć nie można, ale jeżeli przypuścimy, że od roku 1895 do roku 1903 tempo wzrostu było takie same, co w okresie poprzednim, od spisu z r. 1882—1895 t. j. 40% to otrzymamy głosów robotniczych 2,446,000, nadwyżka zaś mieszczańskich wynosić będzie 564,000 czyli $^1/_5$ wszystkich oddanych głosów. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę tylko miasta wielkie (liczące więcej, niż 100 tysięcy mieszkańców) to dojdziemy z łatwością do przekonania, że tutaj udział głosów nierobotniczych był jeszcze wyższy. Ludność robotnicza 28 wielkich miast niemieckich (jeżeli odliczymy nieletnich, niegłosujących i t. p. j. w.) wynosi według spisów z r. 1895 nie więcej, niż 582,547, podczas gdy głosów społ. dem. oddanych tutaj przy ostatnich wyborach było 860,753. Wielkomiejska nadwyżka nierobotniczych głosów była znaczną już w r. 1898, wynosiła bowiem: (w procentach ogólnej sumy głosów społ.-dem. danej miejscowości): w Monachium 21%, w Hamburgu 37%, w Lipsku 11%, w Berlinie i Frankfurcie n. M. 24%, w Królewcu 31%, w Altonie 43%. Tak było w r. 1899, w r. 1903 zaś nadwyżka ta znacznie wzrosła i wynosiła w Monachium 39%, w Hamburgu 42%, w Lipsku 36, w Berlinie 40%, w Frankfurcie 41%, w Altonie 73. Elementy zatem nieproletaryackie stanowiły tutaj prawie $^1/_3$, gdzieniegdzie zaś prawie $\frac{1}{2}$ lub ponadto całości społ.-dem. wyborców.

Ogółem zaś ze wszystkich głosów oddanych przez wyborców z r. 1903 w miastach, liczących więcej nad 10 tysięcy padło na społ.-dem 48%. Staje się ona w ten sposób partyą par excellence miejską podczas gdy rugowane przez nią z miast partye mieszczańskie opierają się coraz to więcej na ludności wiejskiej i klerykalnej, która im w miastach zapewnia część głosów robotniczych.

Jak to widać z historyi obrad kongresowych partya społ. dem. niemiecka, zdawna już badała warunki rozszerzenia agitacyi i po wsiach. Stworzyć programu partyjnego, któryby torował drogę na wieś, nie udało się dotąd wprawdzie, ale bez programu agrarnego i planowej organizacyi wiejskiej pracy otrzymała partya społ. dem. przy ostatnich wyborach na wsi 735,093 czyli 17·1% wszystkich głosów, oddanych w gminach, liczących do dwóch tysięcy mieszkańców. Głosy te rozdzielają się rozmaicie na poszczególne prowincye. W gminach o ludności przeważnie katolickiej udział głosów społ. dem. jest nader słaby a nawet w Bawaryi, mimo pewnej skłonności Vollmara do ustępstw i kompromisów, dochodzi zaledwie do 9%. W gminach zaś wiejskich ewangelickich, udział głosów społ. dem. jest znacznie wyższy nad przeciętny (17·1%) i dochodzi w Saksonii do 50%, zapominać jednak nie należy, że już w r. 1895 ludność przemysłowa wsi saskich liczniejszą była od żyjącej z roli. Zdaje się, że swoje zdobycze po wsiach partya społ. dem. zawdzięcza głównie uprzemysłowieniu ludności wiejskiej, choć zresztą w niektórych gminach nadwyżka głosów czysto rolniczych daje się łatwo stwierdzić przy pomocy statystyki zawodowej. W każdym razie partya społ. dem. zaraz po centrum (1,033,051) posiada największą ilość wiejskich wyborców (735,093) i ma tutaj silniejsze liczebnie stanowisko nawet od junkierskiej partyi niemiecko-konserwatywnej. W świetle tych cyfr owe głosy przywódców społ. dem., którzy sprzeciwiali się naginaniu programu do potrzeb ludności wiejskiej, twierdząc, że rozwój kapitalizmu przyprowadzi ludność wiejską do ich programu, zawierały słuszność ważniejszą od kongresowego zwycięztwa.

Wyniki pracy Blanc'a, wobec ciągłej konieczności redukowania rozbieżnych w czasie cyfr, nie czynią i nie mogą czynić zadość wymaganiom zupełnej ścisłości. Ale jeśli szczęśliwy traf zbliży kiedy czas wyborów z terminem spisów ludnościowych, to podaną przez niego metodą, już teraz uwzględnianą przez statystyki związków zawodowych, można będzie osiągnąć pewniejsze liczebne rezultaty i zbadać niby Roentgenowskim promieniem tajniki urny wyborczej. Będzie to zdobycz nielada, bo ułatwi zrozumienie życia, a zatem i kierowanie niem. *H. G.*

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Zawieszenie.

Narady komisyi nad samorządem ziemskim w Królestwie polsk. zostały zawieszone na czas nieokreślony. Wyobraźmy sobie, jaka rana otworzyła się w sercach $^5/_{23}$, którzy spodziewali się odegrać rolę prawodawczyków narodu a jaka radość ogarnęła ogromny tłum niepowołanych kandydatów, którzy tak łakną nominacyi do jakiejkolwiek komisyi. Nas ten wypadek ani nie smuci, ani nie cieszy. *g.*

Niepewność.

Uchwalony przez komisyę filantropijną i ściągany przez delegatów, chodzących po domach, podatek 1% od komornego na opłatę robót publicznych spotkał częściowy opór ze strony mieszkańców, zwłaszcza zamożniejszych. Jego rzecznicy widzą w tej odmowie dowód skąpstwa i słabego odczuwania obowiązków obywatelskich w wyższych warstwach społeczeństwa. Dziwi nas, że na tej tylko drodze szukano objaśnienia a przeoczono, że bardzo ważnym powodem opozycyi przeciwko owemu podatkowi jest niewiadomość, jak będą zużytkowane pieniądze, które dziś społeczeństwo w swych ofiarach zalicza miastu na roboty. Zamiast budzenie ufności do komitetu lepiej byłoby ściśle określić przeznaczenie funduszu. Bo między tymi, którzy jednako odczuwają nędzę i potrzebę ratunku bezrobocia przymusowego, znajdą się rozmaite odłamy, które niejednakowo oceniać będą wartość społeczną tej lub innej postaci zużytkowania składek publicznych. Tę niepewność trzeba usunąć, bo wobec budzących się wątpliwości źródło podatkowe będzie coraz płytsze. *n.*

Superarbiter.

P. K. Bartoszewicz, który już złożył wiele pięknych dowodów bezwiednego i mimowolnego humoru, powinienby koniecznie zaznajomić się z Rabelais'm i dowiedzieć się od niego, jaki należy zrobić użytek z ostu wtedy, kiedy się chce mówić o rzeczach, o których się nie ma żadnego pojęcia. Prawda, że zastosowanie tego środka uniemożliwiłoby sz. fejletoniście na pewien czas autorstwo wogóle (przynajmniej w postawie siedzącej), ale za to później posunąłby się w swych ćwiczeniach publicystycznych o klasę wyżej. Obecnie przedmiotem, około którego p. B. skacze na jednej nodze z urągliwą miną, są nasze stronnictwa a zwłaszcza demokratyczne. Tych ostatnich naliczył aż 14, a wszystkie mają się odznaczać tem, że naprzód występują przeciwko niemu a następnie nawracają do tego, co w nim poprzednio ganiły. Tak np. jakiś organ „gromił surowo pewnych panów, którzy na własną rękę, nikogo nie pytając, wnieśli podanie do władz o zezwolenie na założenie *instytucyi szkolnej* (!) Potem zaś gdy p. B. wystąpił przeciw samozwaństwu tych, co na własną rękę *zawierają traktaty polityczne*, ów organ zaczął „gorąco bronić" samozwańców i złorzeczyć tym, którym „śmiesznemi wydają się unie narodowe czy państwowe, przez różne prywatne kółka i kółeczka uchwalane". („Uchwalane" odnosi się do „unie"). Szan. superarbiter 14 stronnictw demokratycznych nie przytacza ani faktów, ani zdań cudzych ściśle, bo w ten sposób popsułby sobie jedyną konstrukcyę swego feljetonowego dowcipu. Jemu się zdaje, że gdy napisze, iż ktoś naprzód powiedział to, czego wcale nie powiedział, potem znowu coś przeciwnego, czego również nie powiedział, a on w tę sprzeczność wetknął swoje trzy grosze, których nie wetknął — to z tego wszystkiego tryska wspaniały humor. Godną podziwu odwagę, jaką okazał po przyjeździe z Krakowa do Warszawy, upominając się o instytucye, które u nas dawno działają, objawia dalej: krytykuje zawzięcie „stronnictwa demokratyczne", których całkiem nie zna i nie badał, plecie duby smalone o „traktatach politycznych"; „uniach państwowych" z powagą korepetytora, któremu z wykładów szkolnych wyrazy utknęły w głowie, wyjeżdża ciągle na nasze pole ze stosunkami galicyjskimi, jak z przysłowiową łysą kobyłą na targ i wcale tego nie widzi, że takim jest radcą ziemi, jakim byłby radcą nieba, gdyby do księżyca w kwadrze rzekł: „źle robisz, zakrywając swą tarczę"—a potem w pełni: „dobrze zrobiłeś, żeś *mnie* usłuchał". *h.*

Menuet i wyzwanie.

Wspomniany przez nas w poprzednim numerze artykuł p. Spasowicza o programach ściągnął na niego, obok gradobicia, jeden menuet i jedno wyzwanie. Menuet odtańczyła z nim *Gazeta polska*, ta najzwinniejsza baletnica polityczna, która wszystkie swoje myśli i uczucia wyraża ruchem nóg, gestami rąk i mimiką, pozornie wyrazistą a tak nieuchwytną, że nieraz trudno zgadnąć, czy ona mówi, że Romeo kocha Julię, czy że Jowialski złapał szczygła. Wyzwanie zaś rzucił mężnie *Goniec*: „Jak tylko okoliczności pozwolą—powiada on—powrócimy do walnej rozprawy, ażeby dać zadość-

uczynienie rycerską ogarniętym gorączką przeciwnikom naszym. Cierpliwości panowie i do widzenia!" Jeżeli panowie nie zrozumieli tego pożegnania, to objaśniamy ich, że „gdy okoliczności pozwolą" powinni dla zapowiedzianego pojedynku obstalować sute śniadanie i dużo wina na obustronne „kochajmy się". A jeżeli to odbędzie się za miastem, radzimy dla obu stronnictw wynająć wspólny omnibus. *d.*

Przezorny.

Podobno p. Pilc wystawił „Kraj" na sprzedaż za skromną sumkę 120,000 rb. Jeżeli szczęście jeszcze go nie opuściło, to ma ono obecnie sposobność złożenia mu dowodu największej życzliwości. Zamulony bowiem kanał, po którym p. P. na swym „Kraju" pływał i niewybrednych ludzi woził, już tak wysechł, że po nim zaledwie płaska łódeczka może się przesunąć. Nadto jakikolwiek będzie wynik narad komisyi Kobeki, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że monopol handlu polskiem pismem peryodycznem w Petersburgu będzie zniesiony i każdy za cenę dwu marek stemplowych będzie mógł zyskać pozwolenie na wydawnictwo. Wczesne i pomyślne umknięcie przed skutkami obu tych faktów z miłą pamiątką 120,000 rb. za zasługi obywatelskie byłoby arcydziełem sprytu i dowodem szczególnych łask fortuny. Oby tylko przed dokonaniem tranzakcyi nie wyszło prawo ogłaszające: „każdy ma prawo wydawać pismo peryodyczne po zawiadomieniu zarządu do spraw prasowych"! Wtedy biedny posiadacz „Kraju" chyba usiądzie przy gościńcu, rozpłacze się i rozpsalmuje: „A oto jestem jako trawa kosą podcięta". *) *jb.*

Skończyło się.

I tego, jak wielu innych wypadków, sprawcami są marszałek Ojama i admirał Togo. Gdyby którykolwiek z nich przerwał był jakimś śmiałym atakiem ciszę wojenną, nie zajmowalibyśmy się tak długo i tak namiętnie dzierżawą teatru krakowskiego. Czytelnicy gazet codziennych wiedzą, ile gwałtownych wzruszeń kosztowała ich ta kilkotygodniowa walka pod murami panteonu krakowskiego, (mówimy wyraźnie: panteonu, bo w świątyni Melpomeny mieszkają czasowo wszyscy krajowi bogowie galicyjscy). Dziś zwyciężał p. Kotarbiński, jutro p. Bandrowski, to znowu p. Wyspiański... drżeliśmy, składaliśmy śluby i wota, zakupywaliśmy wotywy na intencyę jednego lub drugiego... Nareszcie przyszła ostateczna wiadomość, że wszystkich pokonał p. Solski. Nawet przyjaciele jego współzawodników odetchnęli radzi, że niepewność już wreszcie się zakończyła. Gdyby ona miała trwać jeszcze dłużej i gdyby o jej przedmiocie p. K. Bartoszewicz był napisał parę wiorst fejletonu więcej, kto wie, czy nie rzucilibyśmy w przestrzeń rozpaczliwego pytania: czyż żadna potęga nieba nie czuwa nad tem cierpieniem? *o.*

Kazania.

Dotąd duchowieństwo nasze katolickie głosiło, teoretycznie przynajmniej rozdział między sprawami religijnemi a społeczno-politycznemi. Idąc za wskazówką, otrzymaną z Rzymu wyżsi przedstawiciele kleru na każdym kroku podkreślali to, że katolicyzm to nie polskość, odrębnością tą chcąc zaskarbić sobie łaskę tych, którym ta polskość była solą w oku. Jako dowód mogą służyć stosunki w Poznańskiem i na Śląsku. Tak samo się rzecz miała ze zjawiskami natury społecznej. Naturalnie w praktyce życiowej wyrażała się ta pseudoneutralność w ten sposób, że duchowieństwo w interesie tych, których zapewniało o międzynarodowym charakterze swego wyznania, namawiało do uległości, dziękowania za każdy otrzymany policzek i t. d. Przewodnią ideą było suggestyonowanie ludzi, że największa krzywda—to rzecz ustanowiona przez Boga. Dziś tę taktykę probuje arcypasterz stosować w nowym nieco kierunku. Pomimo nieudania się prób czynionych sporadycznie przez tego lub owego gorliwego proboszcza, ogłasza on—krucyatę. Na krzywdy, na nieszczęścia, na okropności wszelkie łaskawe jego serce było zamknięte. Nagle za dotknięciem jakiejś różdżki czarodziejskiej przemówił, jak twierdzi, w interesie—swych owieczek. Nieco się spóźnił, o kilkadziesiąt lat. Dziś wszelkie usiłowania jawnie dowiodą interesowanym, czem są i z jakiego źródła płyną starania o ich dobro ze strony tak zwanych duszpasterzy. Ze wszystkich błędów najkorzystniejszem jest dla rozwoju dziejowego demaskowanie samych siebie przez tych, których słowa a czyny—to dwie rzeczy niczem niespojone. *or.*

Na wszelki wypadek.

Dziwni są u nas niektórzy ludzie. Niby dbając o dobro ogólne, starają się wpłynąć na przyszłe ukształtowanie się stosunków, lecz w tych staraniach nie przebierają w środkach. Coraz częściej, zdarza się, że ktoś poczyna robić zastrzeżenia na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek jeden twierdzi, że jeżeli będzie postanowione ograniczyć prawo wyborcze, to należy załatwić to w ten i ten sposób, inny znów pan na wszelki wypadek, jeśli społeczeństwo nie będzie powołane do wypowiedzenia się w kwestyi samorządu przez usta swoich wybranych, zabiega o naznaczenie z urzędu pewnego grona. Pomijam całą śmieszność tych, którzy nie mogą wytrwać na stanowisku ideowem, a ciągle odbiegają w stronę, usiłując miłym wyrazem twarzy podobać się—komu należy. Wystąpienia te mają jeszcze ważniejsze znaczenie. Przedstawiają one fałszywie potrzeby i chęci społeczeństwa. Mało dbają ci panowie o solidarność wystąpienia i wykazują zbrodniczo lekkomyślne traktowanie sprawy ogólnej. Każdy ma przemawiać we własnem imieniu lub w imieniu grupy, stronnictwa—do którego należy. Lecz jeżeli się przemawia w imię dobra całego społeczeństwa, nie wolno bagatelizować takich zasadniczych podstaw jego dobrobytu, jakimi są powszechne równe tajne głosowanie lub dopuszczenie społeczeństwa do decydowania o sprawach gospodarczych. Tego rodzaju wybryki należy piętnować, jako bezmyślną arlekinadę lub mieszczaństwo ciasno klasowe. *zr.*

Baczność!

Różne wstrząśnienia dziejowe przeżywała ludność Królestwa — ludność, a więc wszyscy, zarówno chrześcianie jak i Żydzi. Mieszkając na wspólnej ziemi od setek lat dwa te początkowo obce sobie odłamy z czasem naskutek wzajemnego oddziaływania zbliżyły się do siebie i utworzyły pewną całość — nie narodowość — bynajmniej... Dziś pomimo znacznych różnic, przeważnie zewnętrznych, pomiędzy proletaryatem żydowskim a chrześciańskim, (gdyż w tej sferze te różnice najmniej się zaznaczają) posiadają one wspólne cechy, ustalone przez wspólność interesów i stosunków społecznych. Tak zwana inteligencya romaicie się zachowywała zależnie od momentu i siły życiowej. W chwilach rozbudzania się w niej energii, w chwilach rośnięcia głodu działalności i ożywienia się ruchu umysłowego rozdźwięk milknął, i wszyscy szli ręka w rękę, wpatrzeni w przyszłość. W chwilach apatyi, zamilknięcia głębszych i szlachetniejszych prądów dawały się słyszeć głosy, szczujące jednych na drugich. I choć były one odosobnione i nie znajdowały szerszego echa, Warszawa splamiona została zbrodnią. Choć od tej chwili wiele już czasu upłynęło, jednak pamiętać o niej należy. Społeczeństwo nasze, a właściwie mówiąc większy jego odłam, pogrążony w apatyi i bezsilności, znajdując się pod silnym wpływem klerykalizmu, wysuwającego na pierwszy plan życia rodzinnego kwestyę wyznaniową, biernie się zachowywało względem podszczuwań antisemitów. Zresztą dziennikarze antisemiccy, hamowani paragrafem kodeksu, nie posuwali się do jawnego propagowania gwałtownych środków. Oni tylko jątrzyli, kłamali, pełnili świadomie służbę—wstrętną. Dziś, kiedy społeczeństwo nasze, ożywione nadzieją lepszej przyszłości poczyna się ruszać, poczyna się szykować do czynnego udziału w życiu społecznem — podszczuwacze, znalazłszy silniejszych sojuszników, swą niecną robotę prowadzą ze zdwojonym zapałem. Ich podjudzania idą ręka w rękę z usiłowaniami czynionemi w świadomym celu. Niebezpieczeństwo ponowienia się zbrodni gwałtu jednej części ludności nad drugą nie jest prawdopodobne, obecnie jest ona zbyt uświadomiona i zbyt dobrze zna tych, co szerzą przeróżne bajki i plotki. Lecz pomimo przeświadczenia o swej odporności na niecne podniety społeczeństwo powinno mieć się na baczności, demaskować amatorów łowienia ryb w mętnej wodzie i nie pozwolić, aby siła jego wewnętrzna została osłabiona. Dziś, kiedy przed nami przyszłość się otwiera, musimy być czyści, jednolici i silni spójnią wewnętrzną. Na straży naszej czci społecznej powinniśmy stać czujni i nieubłagani. *br.*

BADANIA NAUKOWE

Burzyciel i reformator antropologii.

Za burzyciela i reformatora antropologii od dziesięciu mniej więcej lat można uważać węgierskiego antropologa, Aurelego Töröka. Z nim przybywa jeszcze jedna postać, która jeszcze jedną gałąź wiedzy w niwecz obraca, wykazując jej zupełne bankructwo. Na tę przyjemność zgotowaną jej przez Török'a antropologia z górą sto lat czekać musiała. W przeciągu tego czasu zużyto nadaremnie dużo pracy wielu ludzi dla nagromadzenia darobku naukowego o bardzo wątpliwej wartości. Gdy zapytamy, jaka jest przyczyna tego przykrego zjawiska, okaże się że jest nią szkodliwy wpływ na postęp wiedzy hypnotyzującego działania, jakie roztaczają katedry szkolne, z których przemawiają ludzie otoczeni nimbem autorytetu i znakomitości. Tak było dawniej, tak jest dziś i ten gorszący stan rzeczy przetrwa jeszcze długo. Gorszącym nazywamy go dla tego, że wystrasza on niegrzeczny krytycyzm rewolucyjny, który i w nauce jest jedynym czynnikiem postępu, na miejsce zaś jego stawia

*) Nie będzie płakał, bo jak donoszą gazety, „grono ziemian z Ukrainy" nabyło Kraj i powierzyło jego redakcyę p. Kutylowskiemu „w tym samym kierunku". Jednak ta kraina ma w sobie dużo z Abdery.

„naśladownictwo", konserwujące i przedłużające w nieskończoność stare błędy.

Póki wykształcenie, umiejętność, inteligencya będą towarem, narzędziem do zdobywania dóbr materyalnych własnością prywatną, póty wytwarzać będą te same zjawiska, jakie spostrzegamy w sferze handlu i przemysłu. Zatem reklama suggestyjna dla podniesienia wartości choćby fikcyjnej, wyłączne, zamknięte w sobie kartele, ograniczające współzawodnictwo i dostęp do nich innym.

Z tego źródła pochodzi unieprzystępnianie wiedzy i umiejętności, gdyż uprzystępnienie ich uniezależnia w pewnej mierze jednych od drugich i strąca dotychczasowych ich przedstawicieli z uprzywilejowanego stanowiska. Popularyzacya i demokratyzacya wiedzy i umiejętności jest ściśle związana z emancypacyą społeczną, z wolną myślą i krytyką. Wróćmy jednak do p. Töröka i stanowiska zajętego przez niego w antropologii. Niezupełnie jest ono nowe, jak zwykle bywa w podobnych razach. Przeczuwał je Virchow w ostatnich latach przed śmiercią, a stosował z tą samą świadomością celu nigdy niezapomniany Quetlet ze swą statystyką, teoryą wielkich liczb i prawdopodobieństwa. Antropologia, właściwie mówiąc, opiera swe wnioski na statystyce znamion anatomicznych, z której usiłuje wysnuć anatomiczne swe formuły. Dla Töröka problematy antropologiczne są bardziej subtelne i zawiłe, zaś ordynarna metodyka dzisiejszej antropologii i jej narzędzia niedokładne nie prowadzą do rozwiązania tych problematów. Török antropologię dzisiejszą uważa wprost za „skandal" naukowy, choć się tak nie wyraża i prawie że ma słuszność, bo błędy jej są lapidarne, graniczące prawie z niepoczytalnością. Jeszcze w pierwszych latach swego powstania, kiedy operowała ona szczupłą ilością danych i faktów antropologicznych, te błędne dogmata były usprawiedliwione. Dziś dogmatyczne przesądy i upieranie się przy oczywistych pomyłkach stają się niesumiennością i szarlataneryą. Siła tradycyi, nałogi myślowe, naśladownictwo, przyzwyczajenie, lenistwo myślowe istnieją w kierunkach naukowych tak dobrze, jak i w prądach życiowych społecznych, obyczajowych, moralnych i wszędzie stwarzają anemię i martwotę „korserwatyzmu". Camper dzięki powyższym okolicznościom zrodził Blumenbacha, Blumenbach zrodził Retziusa, Retziusa zrodził Prichard'a, Broctę, Kollmana i t. d., byłoby tego bez końca, gdyby jakiś burzyciel w guście Töröka nie począł wreszcie nawoływać do oprzytomnienia. Akt oskarżenia Töröka przeciw antropologii i jego recepta ratunkowa da się streścić w następujących, zwięzłych słowach. Zaznacza on niejednostajność postępowania przy poszukiwaniach antropologicznych, niejednomyślność na punkcie tego, które pomiary są ważne a które nie. Ta okoliczność albo bardzo utrudnia lub uniemożliwia zestawienie i korzystanie z rezultatów osiąganych przez poszczególnych antropologów, które nabierają charakteru rozbieżnego.

Metoda badań antropologicznych niedosyć wielostronna i niedosyć dokładna, nie dorasta do wysokości swego zadania. Dopóki niebędzie pojednania i dopóki nie znajdzie podstawy umożliwiającej odpowiedź na pytanie: jaka suma znamion opisowych i pomiarów jest niezbędną dla ścisłej charakterystyki cielesnej ustroju lub rasy? dopóty nie może być mowy o umiejętności antropologicznej. Antropologia dzisiejsza nie daje o tem nawet przybliżonego pojęcia, a jej metodyka nie usuwa wielostronnych trudności, związanych z zadaniem. W miarę mnożenia się danych i regestrowania ich dotąd używanym sposobem, oparte na nich zapatrywania antropologów nietylko nie ujednostajniają się, lecz są coraz bardziej rozbieżnemi. Eklektyzm, będący w użyciu, staje się mozajką jednostronnych sprzecznych poglądów, wysnutych z niejednostajnych założeń i opartych na niejednostajnej metodzie. Wszystko to razem tak zaciemnia cały problemat antropologiczny, że niepodobna wyjaśnić, jakim by sposobem można było usunąć trudności i sprzeczności. Jednem słowem chaos i anarchia uniemożliwiają porównania i zestawienia, co pociąga za sobą atomizacyę żmudnych prac poszczególnych badaczy.

Z kilku znamion ulubionych i upatrzonych, zanotowanych na kilku okazach antropologicznych niewolno wyciągać wniosków dla charakterystyki całej, ludzkiej grupy. Poszukiwane typy rasowe są abstrakcyą, złożeniem sztucznem. Nie istnieją one w naturze. Uznawanie ich jest zaprzeczeniem rozwoju morfologicznego i niekonsekwencyą antropologii, która na jednej stronnicy przyjmuje, jako fakt, istnienie ewolucyi morfologicznej, na innej zapomina o tem. Typy rasowo tylko z pewnem „prawdopodobieństwem" dadzą się ująć w formuły anatomiczne jeżeli zmienionem zostanie dotychczasowe postępowanie. Ponieważ się jest na fałszywej drodze, przeto ile razy niezliczone fakty antropologiczne naigrywają się z „typów rasowych" i nie chcą się do nich stosować, tyle razy dla ratowania fałszywych zasad i pojęć przywołuje się na pomoc takie sakramentalne słowa jak: zanieczyszczenie typu rasowego przez „skrzyżowanie", przez „indywidualne przystosowanie się" okazu, przez „odrębność dziedziczną", co wszystko razem jest wyjaśnieniem mistycznem. To co antropologia mianuje „czystym typem rasowym", jest jego zaprzeczeniem, przedstawia bowiem ujęcie w formułę anatomiczną wyjątkowych okazów antropologicznych danej grupy rasowej z pominięciem i unikaniem rzeczywistego typu rasowego, o ile ten istnieje. W łonie grupy rasowej ogromna większość, którą się mianuje „nieczystą", „skrzyżowaną pod względem rasowym" wyłamuje się z pod formuły rasowej, jaką antropologia w swem zaślepieniu ustanowiła w tym celu.

Cechy ustrojowe są w okresie ciągłego stawania się, w okresie zmienności drobiazgowej a licznej; ta okoliczność jest powodem dlaczego wyróżniają się one jakościowo lub ilościowo od cech ustrojowych innych okazów. Przyczyny tych licznych, drobnych zmian są nam nieznane. Z tego względu odrębności ustrojowe, wynikające z nieznanych przyczyn zasługują na miano „przypadkowych". Badając grupę rasową, ma się do czynienia tylko z wahaniami i odstępstwami od typu abstrakcyjnego, z wahaniami i odstępstwami różniczkowemi, wciąż powstającemi i niezliczonemi. Zadanie właśnie polega na tem, żeby z rozpoznania różnic ustrojowych i ich granic w łonie grupy rasowej odsłonić z pewnem prawdopodobieństwem formułę anatomiczną typu trwającego (during type), będącego ośrodkiem wahań. Niezbędnem przytem się staje określenie prawidłowości wahań. Jeżeli one w łonie danej grupy rasowej nie mają granic, wtedy zadanie całe przy dzisiejszym stanie wiedzy będzie utopijnem. Powstaje stąd pytanie: czy istnieją granice wahań i odstępstw od „typu trwającego" w łonie grupy rasowej? Ażeby dać odpowiedź na to pytanie Török przywołuje do pomocy inną gałąź wiedzy i opierając się na jej prawdach, dowodzi, co następuje: We wszystkich zjawiskach przyrody, które nie dają się sprowadzić do działania jednej stałej, znanej nam przyczyny, które przeto dla nas stanowią kategoryę zjawisk przypadkowych, „prawidłowość" nie daje się inaczej odkryć jak za pomocą rachunku prawdopodobieństwa, opartego na teoryi najmniejszych kwadratów. Rachunek prawdopodobieństwa ze swej strony poucza nas, że dla każdego rodzaju zjawisk przypadkowych są pewne granice wahań, które nie mogą być przekroczone, jeżeli rodzaj zjawisk przypadkowych niema uledz przeobrażeniu zasadniczemu i zamienić się na nowy ośrodek wahań.

Nie mogąc dla braku licznych danych szczegółowych stwierdzić a posteriori, że w łonie grupy rasowej istnieje granica dla wahań i odstępstw od typu trwającego, Török stwierdza a priori istnienie tej granicy na mocy ustalonej zasady rachunku prawdopodobieństwa. Czuje się on do tego upoważnionym z tego względu, że do zjawisk antropologiczno-rasowych, jako do kategoryi zjawisk przypadkowych wolno stosować zasady ustalone przez rachunek prawdopodobieństwa. Török nie ogranicza się na tem i z innej zasady rachunku prawdopodobieństwa wysnuwa postępowanie, prowadzące do odsłonięcia „typu trwającego." Tą nader ważną zasadą, która się sprawdza w obrębie zjawisk antropologiczno-rasowych, i z której wolno w antropologii korzystać, jest następująca: „częstotliwość skrajnych wahań i odstępstw jest tem mniejszą im samo odstępstwo jest skrajniejszem, zaś tem większą im ono mniej odbiega od pewnego punktu środkowego." W tem widzi Török palec, wskazujący drogę i postępowanie, zmierzające do odkrycia „typu trwającego" rasowego. Te są jego założenia podstawowe. Wychodząc z tego stanowiska, wskazuje on logicznie i konsekwentnie, że chcąc w antropologii dojść do jakichś wyników, trzeba zacząć od tego, żeby porzucić dotychczasową ordynarną metodę regestrowania znamion ustrojowych pod względem ilościowym i jakościowym. Niemniej koniecznem okazuje się znaczne powiększenie zakresu znamion regestrowanych. Ponieważ rachunek prawdopodobieństwa wymaga operowania wielkiemi liczbami, przeto należy gromadzić olbrzymią ilość faktów i spostrzeżeń antropologicznych. To wszystko razem tłómaczy nam dlaczego Török dla zcharakteryzowania jednej czaszki notuje nie mniej jak 3000 znamion kwalitatywnych i kwantytatywnych. O ile Török, przejęty interesem nauki, atakuje z pewną swadą i temperamentem fałszywe kierunki i błędne podstawy antropologii, o tyle bez cienia chełpliwości zwraca się do swych towarzyszów zawodu. Na otarcie łez rzuca im hasło: „errando discimus." Ujmuje on czytelnika i zasługą dla postępu wiedzy i charakterem. Świat uczonych antropologów prawie milcząco uznał poglądy Töröka i w miarę możności wstępuje w jego ślady. Te poglądy zaskoczyły wszystkich znienacka, nieprzygotowanych. Pójść dziś za jego wskazówkami trudno, do tego potrzebaby wielu lat pracy i skrzętnego gromadzenia materyału. Na zakończenie dodamy szczegół, który polskich czytelników zainteresować może, że ten właśnie Török wysoko cenił naszego antropologa Kopernickiego, który przez wyróżniającą go szczegółowość swoich opracowań najwięcej z pośród wszystkich odpowiadał żądaniom Töröka.

Alexy Kurcyusz.

LITERATURA I SZTUKA

NOWA SZTUKA.

Wystawa prac konkursowych na posadzki ceramiczne.

Odrodzenie sztuki w przemyśle zaczęło się i u nas. Nawet taka mumia, jak nasze Towarzystwo Zachęty

Sztuk Pięknych, zaczyna ulegać prądowi czasu i choć półgębkiem przyznawać, że sztuka stosowana, zdobnicza, ornamentacyjna, czy jak tam inaczej zechce ją kto nazwać, może korzystać czasem (ale tylko „czasem“) z tych samych praw gościnności, co i portrety kancelaryjne lub kulawo skomponowane „wjazdy artyleryi na pozycyę“, „polowania na wypchanego dzika“ i t. p.

Widocznie że owo „czasem“ nie przypadło na chwilę bieżącą i tym sposobem wystawa konkursowa na wzory płyt terakotowych nie znalazła się w salach Tow. Zachęty, gdzie jedynie byłoby dla niej miejsce właściwe, ale w przygodnie użyczonej sali Resursy Obywatelskiej. Afiszów niema, publiczność do miejsca nieprzyzwyczajona, więc mimo wejścia bezpłatnego panują na wystawie przerażające pustki i znaczenie jej pedagogiczne schodzi niemal do zera.

Nieznane mi są zupełnie okoliczności, towarzyszące urządzeniu tej wystawy, wiem tylko i wystarcza mi to w zupełności, że konkurs był ogłoszony a więc znany wszystkim od wielu miesięcy, że miejscem jego urządzenia była Warszawa i że miał na celu dążenia czysto artystyczne. Z powyższego już samo przez się wypływa, że Tow. Zachęty powinno było o nim wiedzieć i *postarać* się, żeby rezultaty jego były wystawione nie gdzieindziej tylko w gmachu „Zachęty“. Naturalnie obowiązywało ją to o tyle tylko, o ile ma ona ochotę być rzeczywiście instytucyą poświęconą rozwojowi sztuki naszej. W przeciwnym razie każda myśl nowa, każde usiłowanie w celu rozwoju naszej sztuki będzie szukało oparcia po za „Zachętą“ drepczącą wiecznie na tyłach tej armii artystów, którzy do czegoś dążą, czegoś pragną i czegoś nowego szukają, nieograniczając się na procederowej eksploatacyi swego fachu.

Może mnie kto zapyta, czy rzeczywiście uważam ogół prac konkursowych za tak dobry, że aż wypadało Zachęcie się ubiegać o nie i czy są te prace lepsze od szeregów obrazków jakie zdobią ściany wystawy? Na to mogę tylko odpowiedzieć, że nie tu leży jądro kwestyi. Konkurs ten, jak zresztą każdy konkurs, zgromadził zarówno prace złe jak i dobre. Spotyka się tu również i rzeczy zupełnie nieudolne. Ale konkurs przez to samo, że jest konkursem, ma wyjątkowe znaczenie dla rozwoju sztuki i kultury artystycznej, a tem bardziej konkurs w zakresie sztuki zdobniczej, przystosowanej do celów przemysłowych. Pięknie deklamujemy o potrzebie wprowadzenia do przemysłu i do rzemiosł pierwiastku artystycznego a w szczególności pierwiastku swojskiego, a tymczasem gdy taki wysiłek ktoś zrobi uważa się to za sztukę „drugiej klasy“. Jest to coś w rodzaju hakatyzmu artystycznego.

Czy konkursy w sztuce czystej wpływają na jej rozwój i czy powołują do życia nowe arcydzieła? Doświadczenie lat dziesiątków dowiodło że—nie. A czy konkursy w zakresie sztuki stosowanej mają większe znaczenie? Niezawodnie. Również doświadczenie nabyte tak u nas, jak i na szerszej niwie Europy zachodniej dowodzi, że wywołują one specyalne ożywienie, pobudzają energię twórczą i mogą dawać znakomite rezultaty bezpośrednie jak i pośrednie. W tem leży doniosłość konkursów i potrzeba zaopiekowania się nimi.

Przechodząc do obecnego wypadku chcę dać kilka wyjaśnień. Fabryka wyrobów ceramicznych p.f. „Dziewulski i Lange“ ogłosiła drugi z rzędu konkurs na projekty płytek terakotowych. Posadzki terakotowe układa się z pojedynczych płytek kwadratowych i każdy deseń wymaga oddzielnych przystosowań fabrycznych, zatem należy komponować tak, żeby tafelka z tym samym deseniem mogła powtarzać się znaczną liczbę razy, dając piękne kombinacye. Warunki konkursu dla umożliwienia pomysłów bardziej skomplikowanych pozwalały na kombinowanie ze sobą do ośmiu tafelek różnego typu. Trzeba było nadto brać pod uwagę, że przemysł ceramiczny rozporządza tylko niewielką liczbą barw, które dają się do celu zastosować.

Postarajmy się scharakteryzować główne cechy obecnego konkursu.

Został on obesłany bardzo obficie, bo zgromadził 306 prac, a każda z nich składa się z kilku lub więcej tablic, co utworzy pewnie około półtora tysiąca rysunków. Taka mnogość pomysłów najlepiej dowodzi budzenia się w naszem społeczeństwie zamiłowania do usiłowań artystycznych w sztuce stosowanej. Przed dziesięciu laty, a nawet i później niepodobna by było marzyć o takim rezultacie.

Postęp ten niewątpliwie trzeba zapisać nietylko na karb ogólnego prądu jaki ogarnął całą Europę, ale także i na dobro miejscowych czynników, jakimi było powstanie w tym okresie kilku szkół fachowych, artystycznych w Warszawie, Towarzystwa „Polskiej Sztuki Stosowanej“ w Krakowie, ukazanie się kilku dzieł źródłowych jak np. „Zdobienie i sprzęt na Podhalu“ Matlakowskiego, działalność takich ludzi jak Witkiewicz, rozwój Muzeum Rzemiosł, ogłaszanie szeregu konkursów artystycznych z celami przemysłowemi i t. d. Za to nie możemy przypisać tych zasług dwu jedynym instytucyom artystycznym w Warszawie, na których ten obowiązek z natury rzeczy ciążyć był powinien. Warszawskie Tow. Artystyczne patronowało tylko pewnej liczbie konkursów powstałych wyłącznie z usiłowań prywatnych, co zaś do Tow. Zachęty Sz. P. to ono z niechęcią lub obojętnością traktowało te sprawy, mimo że od wielu lat ma w programie swoim ogłaszanie konkursów w zakresie zdobnictwa. Mogę dodać, że Tow. Artystyczne obiecuje nam wkrótce zająć się tą sprawą goręcej.

Na obecnym konkursie spotyka się sporo dobrych pomysłów, ale niestety przy niebywale wielkim braku wykształcenia fachowego. Wskutek tego ogół dobrych projektów, nie wyłączając większości nagrodzonych, jest niewykonalnym, a więc i cel konkursu nieosiągniętym. Po za nielicznemi pracami zdradzającemi, że autorowie ich rozumieją zadanie sztuki zdobniczej, że im nie są obce podstawowe zasady kompozycyi ornamentacyjnej a nadto, że przed przystąpieniem do konkursu zapoznali się choć zgrubsza z warunkami technicznymi ostatecznego wykonania przedmiotu, ogół prac jest zbiorem usiłowań czasem pomysłowych czasem efektownych, ale w znacznej większości dyletanckich i bezcelowych, bo niewykonalnych.

Najpospolitszym błędem kompozycyjnym, jaki spotykamy śród prac wystawionych, jest właśnie brak tego, co stanowi istotę kompozycyi. Są to tylko mechaniczne zestawienia motywów bez ściślejszego powiązania ich między sobą. Można je łączyć dowolnie, rozrywać jak gutaperkę i znów sklejać bez szkody.

Że dobra kompozycya powinna być nierozerwalną całością, w której nie można nic ująć bez zepsucia równowagi i jasności i nic dodać bez przeładowania, tego ogół autorów albo nie wiedział albo o tem nie pamiętał.

Że te projekty muszą być ostatecznie wykonane barwnikami ceramicznymi, których ilość jest bardzo ograniczona i których nie można mieszać ze sobą dla otrzymania tonów nowych, pośrednich, o tem również nikt bez mała nie wiedział, lub nie przystosował się do tego. Dość powiedzieć, że z pośród sześciu prac nagrodzonych tylko druga i czwarta odpowiedziała wymaganym warunkom! Odpowiedziała im nadto i pewna liczba prac nienagrodzonych. We wszystkich zaś innych autorzy fruwali na skrzydłach fantazyi, nie troszcząc się zupełnie, że ceramista ma do swego rozporządzenia np. tylko dwa tony zielone, jeden czerwony, jeden żółty, jeden słomkowy itd. i że taka kompozycya gdzie cały efekt polega na zestawieniu *czterech* barw zielonych lub czterech zgniło-oliwkowych, albo taka, która kąpie się w całej gamie barw ciepłych soczystych, począwszy od ciemnej purpury, a skończywszy na tonach złocistych, że wszystko to, jest złe bo niewykonalne i wydaje się dla specyalisty wprost śmiesznem *nagradzanie* takich projektów. Gdyby ceramista wykonał je zastępując z konieczności takiemi barwami, jakiemi ceramika rozporządza, to projekty stałyby się brzydkimi, albo wprost niemożliwymi.

O kardynalnym warunku, że zdobienie przedmiotu nie powinno zmieniać lub ukrywać cech zasadniczych, właściwych danemu przedmiotowi, również nie wiedziała spora część stających do kokursu.

Czego zatem wymaga się przedewszystkiem od posadzki? Żeby była równa, gładka, lecz niezbyt ślizka i ułożona poziomo; żeby budziła zaufanie że jest mocną i że wytrzyma ciężar osób. Takie przymioty posiada każda zwyczajna podłoga z dobrze wyheblowanych i równo ułożonych desek. Te same też przymioty powinna zachować i najwspanialsza posadzka, czy to drewniana czy terakotowa, czy mozajkowa.

Wprowadzenie więc motywów barwnych, mających naśladować różne wypukłości, jest pomysłem z gruntu fałszywym, a wszelkie obrazy perspektywiczne nie mają sensu. Branie motywów żywcem z natury i umieszczenie ich bez zmiany też jest błędem zasadniczym, gdyż posadzka zawsze i od pierwszego rzutu oka powinna budzić wrażenie tego, czem jest na prawdę t. j. wrażenie *posadzki* a nie rozrzuconych przypadkowo liści kwiatów lub owoców wykrojonych jakby z atlasu botanicznego. Taki liść klonowy nie powinien sprawiać wrażenia prawdziwego liścia klonowego, ale być częścią nierozdzielną posadzki ozdobionej ornamentem, do którego motyw zaczerpnięto z liści klonowych.

Gdy dodam, że wiele projektów robi wrażenie, jakby nie były obmyślane na konkurs ceramiczny, ale na jakiś laubzegowy, tkacki, dywanowy, stiukowy, hafciarski, wycinankowy itd. itd., to przejdziemy do wniosku, że posiadamy już spory zastęp ludzi interesujących się sztuką stosowaną, ale będących głównie dyletantami, którzy jeszcze barzdo mało umieją w zakresie tej sztuki.

Jeśli te usiłowania dają nawet czasem choćby jednostronne dobre rezultaty, to są one niejako tylko odruchowym i nieświadomym przejawem natury bogatszej, ale pozbawionej niezbędnego przygotowania.

Że tak się przedstawia całość konkursowa, z tem trzeba się potrosze pogodzić wobec niedawno rozpoczętych usiłowań w tym kierunku, smutniejszem jest jednak to, że nie można jeszcze zgromadzić u nas nawet tak niewielkiej garstki ludzi gruntownie znających się na rzeczy, żeby módz z nich utworzyć choć jaki taki komplet sędziów zawodowców.

Uznając duże zasługi panów sędziów obecnego konkursu na różnych innych polach działalności artystystycznej, nie mogę wstrzymać się od wyrażenia przekonania, że rozstrzygnęli konkurs bez dostatecznej znajomości fachowej. W takich warunkach czyste i staranne odrobienie rysuku, miłe kolorki lub efekciki, choćby niedające się wykonać, bardziej chwytają sędziów za serce niż praca dobrze skomponowana i przeprowadzona konsekwentnie.

Niestety jesteśmy jeszcze za ubodzy, żeby się zdobyć nietylko na duży zastęp fachowych wykonawców, ale i na garść sędziów zawodowo przygotowanych. Te nieliczne jednostki, któreby mogły wywiązać się z tego zadania w sposób poważny, same zwykle biorą udział w turniejach konkursowych.

Dyletantów sądzą dyletanci, więc nic dziwnego, że bardziej od trafu niż od rzeczy

wistej wartości zależnem jest otrzymanie nagrody, a prawdziwie dobre prace toną śród setek innych.

Dla uspokojenia sumienia czytelnika nadmienię, że piszący te wiersze nie stawał do konkursu, ani też nie posiada nikogo blizkiego, ktoby przepadł w tym konkursie, więc w granicach swej kompetencyi może wyjawić szczere przekonanie bez obawy zamącenia go pobudkami postronnemi.

Społeczeństwo nasze powinno zwrócić szczególną uwagę na tego rodzaju usiłowania w sztuce. Od nich zależy nietylko rozwój naszego przemysłu, ale i ogólny estetyczno-kulturalny rozwój mas. Dziś próby te muszą wypadać trochę po dyletancku, ale one są właśnie szkołą w której wyrabia się materyał na przyszłych specyalistów.

Nie tak dawno w kwestyach różnych konkursów pomnikowych rozstrzygali adwokaci, lekarze, hrabiowie i t. p. łaskawie czasem dopuszczając jakiego artystę, z którego zdaniem większość robiła potem co jej się podobało. Dziś już sądzą dzieła sztuki ludzie w prawdzie nie znający się na danym przedmiocie, ale przynajmniej pracujący na polu pokrewnem. Może więc za lat kilkanaście zdobędziemy się nareszcie na sędziów specyalistów, którzy sami mogliby wykonać kompozycye lepsze a przynajmniej równie dobre jak te, które podlegają ich sądowi.

Sierp.

NOWE KSIĄŻKI.

Jan Lemański—„Colloquia, albo rozmowy". Nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

Nowy zbiorek składa się z utworów drukowanych przeważnie w *Chimerze*. Artyzm poety nabrał dziwnej pewności tonu. Forma dlań jest niezwykle posłusznym narzędziem, które czujnie i sprawnie spełnia swoją służbę. Owładnięcie językiem wytworzyło tę giętkość ostrza szpady, które przerzyna mroźnie i boląco. Naprożno wierni warszawskim dogmatom krytycy usiłują połapać się w tej satyrze. Któryś z nich roztkliwiał się nad tem, że autor jednych gani, z drugich się śmieje, tak że niemożna nałożyć mu jakiegoś szyldziku. Poeta wpatruje swój zimny, stalowy wzrok w świat zewnętrzny, świat mikrobowo-drobny i spogląda nań chmurnie. Przed nim roztacza się zwyczajna mozajka: najbardziej szare, nikłe barwy, najpiskliwiej cnotliwe dogmaty i dążenie do wieszania na wszystkiem tabliczek z nazwami. Wszędzie chlupie błotko rodzime, a z rozkoszą przewalające się w nim istoty dwunogie, urozmaicają sobie poobiedni odpoczynek wzdychaniem do gwiazd, „wyczerpani oraniem albo erotyką hygieniczną". Wszędzie rodzima woń sadzawki, pokrytej zgniłem zielskiem, wszędzie bełkotanie zamiast jęku, wszędzie ślinienie zamiast płaczu. Oczy wpatrzone w to „ziemskie piękno" rzucają błyski mroźne na to nagromadzenie małości i budzi się chęć... kopnięcia... Ironia Lemańskiego niejednemu klasyfikatorowi przyczyniła sporo kłopotu. Ani weź nie da się połączyć z Jordanem, Kostrzewskim i innymi poczciwcami. Niema na to rady. Chyba autor... zawrze podług recepty Kryłowa znajomość z kogutem. Tenby mu wskazał i poczciwą tendencyę i zacną bawarkę, co to ani ziębi, ani grzeje, a na trawienie działa wyśmienicie.

Niestety, jak dotąd p. Lemański pozostał głuchy na życzliwe rady; snuje arabeski dziwacznego rysunku, sięga do głębi komizmu owych stosunków międzyludzkich i przenosi szczerą twórczość nad obywatelską sapaninę. Może się z czasem zaaklimatyzuje. Niech kurjerki nie tracą nadziei. *k.*

Czesław Porfirogeneta. „Z plusów ziemi" z 20 ilustracyami. K. Górskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1905.

Najmożliwsze z całej książki są illustracye. Są one szablonowe, lecz niektóre jeszcze jakotako można zakwalifikować do kategoryi minimalnych plusów. Za to plusy przekornie przybierają niepozorną postać minusów. Na tem zapewne polega ironia autora, wynaleziona przez cierpliwego i literaturę ojczystą miłującego krytyka z pisma—x. Ów pan Czesław chciał zabawić ludzi w te szare, smutne czasy i zamiast idylli dał nędzną ramotę, aby czytelnik mógł pośmiać się. *zb.*

Notatki literackie i artystyczne.

Kazimierza Tańskiego: Pamiętniki „Piętnaście lat w legionach" z przedmową S. W. Turowskiego. Wende.

H. M.: „Zbory i senatorowie protestanccy w dawnej Rzplitej.

J. Żerbiłło przełożył z łacińskiego „Kronikę Jana z Czarnkowa" arcybiskupa gnieźnieńskiego podkanclerzego Król. Pol. Z zapomogi kasy J. Mianowskiego. Skład u Wendego.

Adam Szelągowski: „O ujście Wisły. wielka wojna pruska" Gebethner.

Hr. Waleryan Krasiński: „Zarys dziejów powstania i upadku reformacyi w Polsce" przek. z angielskiego, Nakład „Zwiastuna Ewangelicznego" Tom II cz. I i II.

K. Landmann: „Napoleon" przeł; J. Kleczyński nakł. Gebethnera i Wolffa.

W. Sieroszewski: „Korea" (Klucz Dalekiego Wschodu) z 28 rysunkami i mapą nakł. Geb. i Wolffa.

Szymon Askenazy: „Uniwersytet Warszawski", nak. Gebeth. i Wolfa.

Z. Świątopełk Słupski: „Drugi najazd szwedzki" (Karol XII). Nakł autora. Skład Geb. i Wolffa.

Zenon Pietkiewicz: „Siły i środki ludu naszego" Zarys warunków ekonomicznych ludności włościańskiej w Król. Polskiem. Nakł. Księgarni Naukowej.

S. Koszutski: „Nasz przemysł wielki na początku XX stulecia" obraz statystyczno-ekonomiczny, nakł. Księgarni Naukowej.

Kozłowski: „Zarys historyi włościan we Francyi" Biblioteka współczesna, nakł. Księgarni Naukowej.

J. Sully: „Psychologia wychowawcza" przekł. z ang. A. Szyc. Zeszyt I i II. Księgarnia Naukowa.

Ellen Key: „Trwonienie sił kobiecych" przek. S. Moszyńskiej, nakł Księg. Nauk.

E. Duclaux: „Hygiena Społeczna". Tłom. dr. L. I. wydanie „Ogniwa".

Dr. H. Höffding „Etyka" Opis zasad etycznych i zastosowania ich do poszczególnych stosunków życiowych, spolszczył dr. Wolberg. Tom. I. Cz. I.

Dr. H. Nusbaum: „Pamięć, jej znaczenie w umysłowości i etyce", nakł. Treptego.

L Krzywicki: „Systematyczny kurs antropologii". Klasy psychiczne.

Wybuch bomby.

D. 19 maja około godz. 12 w połud. do cukierni Trojanowskiego przy ul. Miodowej № 4 przybył młody człowiek, blondyn, średniego wzrostu, ubrany przyzwoicie i kazał sobie podać kawy. Zachowanie się jego niespokojne zwróciło uwagę agentów policyi, którzy dnia tego z racyi przejazdu władz na nabożeństwo galowe do cerkwi prawosławnej pełnili służbę na ulicy Miodowej. Gdy ci podeszli, aby podejrzanego człowieka aresztować, nastąpił wybuch bomby, o którym *Warsz. Dn.* podaje następujące szczegóły:

„Około domu Nr. 4 wzbił się tuman kurzu i dymu i jak podczas huraganu zadzwoniły kawałki szkła. Kiedy dym i kurz cokolwiek opadły osoby nadbiegłe znalazły wśród szczątków werandy cukierni i kawałków tynku odbitego kilka trupów strasznie okaleczonych. Weranda cukierni Trojanowskiego, mieszczącej się w domu Nr. 4, runęła. Siła wybuchu wybiła szyby we wszystkich domach sąsiednich, a wszystkie wyroby, wystawione w oknach cukierni, wepchnęła wewnątrz, odrzucając jednocześnie do ściany przeciwległej stoły i krzesła. W sklepach sąsiednich, szczególniej u Sommera, powyrywało szyby wystawowe z towarem. W chodniku pocisk wyżłobił dość głęboki otwór.

Jak się wyjaśniło później, wybuch nastąpił w warunkach następujących. Na werandzie cukierni policya zauważyła dwie podejrzane osobistości. Policyanci przystąpili do nich i aresztowali ich; jednego z nich policyanci odprowadzili, a drugi, wzięty przez dwóch stójkowych, zerwał z guzika sznurek, na którym wisiała bomba i rzucił ją na chodnik. Sprawca zamachu, z którego po wybuchu pozostała nieforemna, zakrwawiona bryła, poranił śmiertelnie obu trzymających go stójkowych, którzy też wkrótce zmarli. Oprócz tego wskutek wybuchy trzy osoby poniosły ciężkie rany, trzynaście zaś obrażenia lżejsze.

Na trupie sprawcy znaleziono dwa medaliki katolickie i rewolwer systemu Brauninga.

Zabici stójkowi, Wasilij Korotkij i Jegor Koczнow, wstąpili do policyi zaledwie przed trzema miesiącami. Wybuch detalicznie porozrywał ich, rozrzucając członki w rozmaite strony.

W liczbie ranionych, oprócz ciężko ranionego policyanta, znajdują się mężczyźni i kobiety, przechodzący podczas wybuchu przez ul. Miodową.

Wybuch był tak silny, że słychać go było nawet w najbardziej odległych dzielnicach".

Bomba nabita była gwoździami, które się wbiły w meble cukierni i w ściany zrujnowanego pokoju. Znaleziono również grubsze opiłki żelazne i małe gwoździe w ciele i ubraniu zabitych.

Cała ulica w tem miejscu po obu stronach uległa spustoszeniu.

Szkody wyrządzone przez wybuch bomby wynoszą — według *Gazety Polskiej* — 10,000 rb. a według *Gońca*—50—60,000 rb. Chociaż z jednego gatunku a jak różne dwie imaginacye!

Życie publiczne w Rosyi.

P. E. Witoszyński w. *Now. Wremia* pisze: „W losach ludu małoruskiego gubernij siedleckiej i lubelskiej odbywa się obecnie ważny przewrót dziejowy. Pospołu z całą Rosyą, lud ten ze stanu zaściankowości i niewoli wyznaniowej przechodzi do stanu wolności. Stary system oddziaływania na opornych unitów zdyskredytował się w krzyczący oczywisty sposób, i co jest szczególnie znamienne, bankructwo jego uznali ci nawet, którzy młodość swoją i działalność pasterską poświęcili misyonarstwu śród opornych.

„Zdarzyło mi się uczestniczyć w dwóch posiedzeniach oddziału Klubu rosyjskiego w Warszawie, dnia 13-go i 20-go marca r. b., poświęconych rozważaniu środków, któreby utrzymały opornych przy cerkwi. Wynurzali swoje poglądy głównie ci pasterze, którzy po lat 28 pracowali śród opornych unitów. Smutkiem i sarkazmem tchnęły ich przemówienia. „O powrocie opornych na łono cerkwi nie może być nawet mowy—mówili.—Wszystkośmy postradali. Cała prawie ludność do kościoła należy."

„Aliście poza pokoleniem, które sterało swoje siły i przeżyło własną przegraną, stoi młode pokolenie, pełne sił i niepozbawione

jeszcze ideałów. Cała też nadzieja odradzającej się Rusi chełmskiej w młodem pokoleniu spoczywa. Młodzież już dlatego samego, że jest młoda, nie może wymówić się pracy, a przeto z ufnością patrzę w przyszłość tej sprawy, której się wyrzekli dawniejsi działacze.

„Muszę atoli zastrzec, że świetlana przyszłość Rusi chełmskiej zależy całkowicie od warunków politycznych bytu ogólno-rosyjskiego. Jeżeli jednocześnie z ogłoszeniem wolności sumienia lud wiejski kraju naszego nie otrzyma rękojmi politycznych, za któremi oświadczyła się cała uczciwa i myśląca Rosya,—natenczas niewarto nawet mówić o pracy na nowych zasadach. Tylko swobodna praca może być owocna.

„Ludowi naszemu w guberniach siedleckiej i lubelskiej potrzeba w obecnej chwili prawa zgromadzeń, związków, odczytów i zapewnienia nietykalności osobistej,—a skoro to otrzyma, przestaną być dla niego straszne nietylko zabiegi katolicyzmu, lecz i całego piekła.

Główną wadą poprzedniego systemu była zupełna nieznajomość ludu i zasadniczy zakaz wypowiadania przezeń swoich potrzeb. Trzeba to radykalnie zmienić. W tym celu należy niezwocznie zwołać do Chełmu wiec ludowy.

„Teraźniejsza władza eparchyalna powinnaby wydać odezwy do opornych unitów w trzech językach: polskim, małoruskim i rosyjskim, wyjaśniając znaczenie nadanej przez Najjaśniejszego Pana wolności sumienia i zwołując na naradę w tej mierze do Chełma. Na posiedzeniach wiecu powinni przewodniczyć duchowni czy świeccy, wybrani przez samychże wiecowników, bez jakiegokolwiek nacisku. W obradach, rzecz prosta, uczestniczyć powinni wyłącznie delegaci włościańscy.

„Na pierwszem posiedzeniu nastąpi wyodrębnienie. Przedewszystkiem oświadczą się zwolennicy połączenia tylko z kościołem katolickim czyli katolicy z przekonania. Stwierdziwszy ich liczbę, wiec sporządzi akt historyczny, świadczący o prawnem przystąpieniu ich do Kościoła katolickiego. Oczywiście należy w nim zaznaczyć, że Kościół wschodni, unicki czy prawosławny, przygarnie ich napowrót, jeżeli tego zapragną. Trwałe porozumienie się z tą grupą szybko nastąpi; dusza ich, od lat 30-tu srodze niepokojona, znajdzie wreszcie spokój i zgodę.

„Na wiecu pozostaną tedy jedynie przedstawiciele obrządku wschodniego. Wystąpią oczywiście zaraz zwolennicy cerkwi unickiej, którzy jej przywrócenia zażądają. Będzie to bodaj liczebnie grupa największa. Ona sama ułoży dla siebie plan przywrócenia kościoła unickiego.

„Niechybnie znajdą się również zwolennicy cerkwi prawosławnej w jej teraźniejszej postaci. Grupa to nader nieliczna, a żądania jej będzie najłatwiej zaspokoić.

„Kiedy w ten sdosób oporni zawrą ugodę pomiędzy sobą, nadejdzie druga faza wiecu. Przedstawiciele cerkwi prawosławnej, czyli duchowieństwo z biskupem lubelskim na czele, przystąpią do uporządkowenia spraw eparchyi prawosławnej na nowych zasadach.

„Na podstawie własnych wywiadów po wsiach gub. siedleckiej śmiem utrzymywać, że młode pokolenie z pow. sokołowskiego, siedleckiego, radzyńskiego i części konstantynowskiego (do 35 lat wieku) oświadczy się na razie za czystym katolicyzmem. Starsi wypowiedzą się za przywróceniem unii, przyczem będzie chodziło wyłącznie o wygląd zewnętrzny świątyni. Pragną oni przedewszystkiem powrotu księży unickich, zmuszonych do wyjazdu za granicę (do Galicyi) w r. 1875. Kilku księży unickich mieszka też w Warszawie pod dozorem policyi.

„Młodzież w środkowej i wschodniej części gubernii przyłączy się przeważnie do katolicyzmu, ludzie średniego i podeszłego wieku oświadczą się stanowczo za cerkwią, czy unicką, czy prawosławną, co dla nas wszystko jedno.

„Głównem bowiem zadaniem naszem na razie powinno być właśnie utrzymanie opornych przy cerkwi kosztem ustępstw.

„Te właśnie ustępstwa powinny stać się przedmiotem obrad wiecu w drugim jego okresie. Tam się rozstrzygnie zagadnienie, czy wskrzesić unię w Chełmszczyźnie z niezależnym, powołanym przez wybory biskupem unickim na czele, czy też, być może, nie zajdzie potrzeba uciekania się aż do tego ostatecznego środka, jeżeli oporni zgodzą się przyłączyć do prawosławia za cenę ustępstw w obrzędach i nabożeństwie.

„Powtarzam, że niezwłoczne zwołanie wiecu w ten sposób może jedynie ocalić dla nas to wszystko, czegośmy się wyrzekli. Jeżeli bowiem ludności, siłą przyłączonej do cerkwi, damy swobodę wyboru wyznania, nie potępiwszy jednocześnie aktem odpowiednim poprzedniego systemu, natenczas bez żadnej wątpliwości sympatye ludu przechylą się ku katolicyzmowi, czyli ku tej religii, która za dni prześladowań i ciężkiej próby była dla niego ostoją, schronieniem i pocieszycielką. Przecież my sami, świadomie czy nieświadomie, zatarliśmy pojęcie o cerkwi prawosławnej, jako o matce kochającej; od lat 30-tu była ona dla ludu jedynie „rózgą karzącą".

„W ten sposób, w ciągu lat 30-tu więcej zrobiliśmy dla okatoliczenia unitów, aniżeli intrygi jezuickie w ciągu lat 300-tu.

„Nie pragniemy walki z Polakami, nie chcemy wcale walczyć z księżmi, raczej chcemy żyć z nimi w zupełnej zgodzie, jako z przedstawicielami samowiedzy narodowej polskiej, nie żywimy niechęci ani wzgardy ku kościołowi, jako świątyni Pańskiej,—lecz poczytujemy za swój święty obowiązek walczyć z katolicyzmem, jako systemem średniowiecznym, wrogim słowiańszczyźnie i narodowości.

„Jestem przekonany, że przy swobodach politycznych czy unia, czy prawosławie zapewni ludowi gub. siedleckiej i lubelskiej opiekę dobrego huchowieństwa, postępowego i pracowitego, zapewni szkoły ogólnie i rolniczo kształcące, zapewni czytelnie we wszystkich językach miejscowych: polskim, rosyjskim i małoruskim, słowem podniesie cywilizacyę kraju."

P. Komarow w *Swietie* wypowiada następujące obawy z powodu powołania wszystkich mieszkańców do pracy nad dobrem państwa:

„W Europie zachodniej monarcha dzieli się swoją władzą i prawami z przedstawicielami ludu. Gdyby w Rosyi zaprowadzono reprezentacyę narodową na wzór zachodni i dopuszczono do niej przedstawicieli ludów, natenczas wszechwładza narodu rosyjskiego (suwerenitet) rozdrobniłaby się pomiędzy wszystkie ludy. A przecież mamy około 14 milionów mahometan, 12 milionów katolików, około 5 milionów żydów, 4 miliony ewangelików i t. d., razem około 30% innowierców.

„W razie więc nadania konstytucyi na modłę zagraniczną w tejże chwili i Polak, i Żyd, i Ormianin, jako przedstawiciel ludu, stanie się już nie gościem, lecz równouprawionym gospodarzem całej Rosyi. Wtedy klucze od domu rosyjskiego z rąk przedstawiciela narodu panującego, Samowładcy Wszech Rosyi, przejdą do rąk różnowiernych i różnoplemiennych. A ręce to niepewne. Ręce te wrogom naszym otworzą wrota do domu rosyjskiego. Ręce te podziele Rosyę na części".

W innym artykule tego samego pisma mówi znowu:

„W Moskwie około „stu osób", w których liczbie było „przeszło trzydziestu polaków", przystąpiło do wskrzeszenia Polski. „Osoby" te uchwaliły, iż Królestwu Polskiemu jest nieodzownie potrzebny „ustrój autonomiczny" przy zachowaniu „jedności państwowej" z Rosyą. Jak pogodzić „jedność" z autonomią", zjazd około stu tajemniczych osób nie wyjaśnił, zachowując sekret dla siebie.

„Musimy przeto sami z innych uchwał tych samych osób wymiarkować, na czem polega ich jedność autonomiczna.

„Polacy wezmą udział w ogólno rosyjskiej reprezentacyi („jedność"), ale dziesięć gubernij Królestwa powinno mieć sejm oddzielny, wybrany na zasadzie powszechnego, bezpośredniego i tajnego głosowania, równego dla wszystkich, bez różnicy narodowości i wyznania.

„Ostatni warunek jest tego rodzaju, że niechybnie doprowadzi do przepełnienia przez żydów pszyszłego sejmu autonomicznego Królestwa. A ponieważ dzięki „jedności" sejm ten będzie wysyłał deputowanych do cesarsko-rosyjskiej reprezentacyi, zatem i nasz przyszły sobór ziemski obdarzy obficie żywiołem semickim.

„Wskrzesiciele Polski nie domagają się już przyłączenia do niej Litwy i Ukrainy. Poprzestaną na całkowitem równouprawnieniu zamieszkałych tam Polaków. Nie należy jednak cieszyć się z takiego umiarkowania. Jesteśmy przekonani, że niebawem zbierze się w Moskwie znowu „około stu osób", które uchwalą przywrócenie Księstwa Litewskiego z osobnym sejmem autonomicznym w Wilnie. Następnie zgromadzi się „około stu osób" i zażąda sejmu autonomicznego w Kijowie dla Hetmańszczyzny ukraińnej. Jak na sejm do Warszawy, tak również na sejm do Wilna i Kijowa będą wybierani posłowie „bez różnicy wyznania i pochodzenia". Za sprawą „jedności państwej" sejmy wileński, kijowski i warszawski—wyślą deputowanych do cesarskiego soboru ziemskiego, znowuż obdarzając go żywiołem semickim...

„I jeszcze domagają się tego, ażeby członkom soboru ziemskiego służyło miano „przedstawicieli narogu rosyjskiego", w znaczeniu konstytucyjno-zachodniem!

„W jakichże czasach żyjemy? Cóż oglądamy, co słyszymy, o Rosyanie!"

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Duchowni uniccy, rozproszeni po różnych miejscowościach Król. Polsk. i ludność tego wyznania w guberni siedleckiej korzystając z Ukazu o tolerancyi religijnej, przechodzą do kościoła rzymsko-katolickiego wskutek tego słabe są widoki wskrzeszenia kościoła grecko-unickiego.

— W dniach 3-im i 4-ym czerwca odbędzie się w Krakowie zjazd abstynentów polskich. W związku ze zjazdem urządza się wystawa napojów bezalkoholowych, wyrabianych w krajach Polski. Przedmioty przeznaczone na wystawę przysyłać można na ręce przewodniczącej komitetu wykonawczego zjazdu, p. dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej (Kraków, ul. Felicyanek nr. 27). Obrady zjazdu odbywać się będą w sali posiedzeń rady miejskiej.

— Posiedzenia komisyi mającej pod przewodnictwem senatora Podgorodnikowa obradować nad sprawą wprowadzenia samorządu ziemskiego w Królestwie Polskiem zostały odroczone.

— Czytamy w *Warsz. Dn.* że prace komisyi w sprawie zbliżenia rodziny i szkoły zostały już ukończone.

— Do specyalnej komisyi Kokowcewa dla uregulowania kwestyi robotniczej będą dopuszczeni, jak donosi „Warsz. Dn." z Petersburga, przedstawiciele prasy.

— W jednem z miast w Cesarstwie —pisze *Goniec* —utworzyła się grupa młodzieńców-izraelitów p. n. „Awangarda", która zobowiązała się najdalej w maju r. 1907 wyjechać do Palestyny. Grupa składa się z 50 osób w wieku od lat 18 do 25. Każdy wpłaca od razu lub częściowo 350 rb. Za te pieniądze wyjadą wspólnie i zakupią tam kolonię. Członkowie zobowiązali się przez te 2 lata nauczyć hebrajskiego i arabskiego języka oraz rzemiosła, mającego zastosowanie w kolonii rolniczej.

— Powstał projekt zwołania w Warszawie zjazdu przedstawicieli wszystkich gmin żydowskich w Królestwie Polskiem w celu obmyślenia środków oswobo-

dzenia rabinów duchownych od wpływu cadyków chasydzkich.

Wiadomości urzędowe. Według nowego prawa zniesione będą surowe kary za porzucenie poddaństwa rosyjskiego i przyjęcie obcego.

— Okólnik ministeryum spraw wewnętrznych zawiadamia, że ustawy towarzystw dramatycznych, literackich, cyklistów, muzycznych i innych będą zatwierdzane władzą gubernatorów i naczelników miast z zachowaniem wymagań co do ustaw, aby nie zawierały pierwiastku politycznego.

Sprawy szkolne. Z wpisów od studentów uniwersytetu warszawskiego, corocznie wpływa około 150,000 rb. zaliczonych do specyalnych funduszów uniwersytetu. W r. b. z powodu zawieszenia wykładów z powyższego źródła wpłynęło zaledwie 46,000 rb. z tej sumy zarząd uniwersytetu będzie musiał zwrócić około 16,000 rb. tym studentom, którzy opłacili wpisy z góry za oba półrocza.

— Rektor uniwersytetu warszawskiego ogłasza w „Warsz. Dniew." co następuje: „Na skutek Najwyższego Rozkazu, zakomunikowanego przez p. ministra oświaty kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego, d. 14 b. m. podaje się do wiadomości pp. studentów: 1) od d. 29 maja rb. rozpoczną się na wszystkich wydziałach egzaminy ostateczne i 2) ci ze studentów ostatniego kursu, którzy z różnych przyczyn nie przystąpią obecnie do egzaminów, będą dopuszczeni do tychże w miesiącu wrześniu. Pp. studenci, pragnący obecnie przystąpić do egzaminów ostatecznych winni przesłać na moje imię zawiadomienie do d. 27 maja ze wskazaniem swego adresu w celu otrzymania biletu wejścia.

— Zarząd Towarzystwa rozpowszechniania oświaty między izraelitami zamierza otworzyć, szkołę rabinów, celem należytego wykształcenia kontyngensu duchownych żydowskich.

— Ministerym oświaty zażądało informacyi od tutejszych wyższych zakładów naukowych, jakie posiadają oszczędności z kredytów lat ubiegłych, gdyż wskutek zamknięcia tychże zakładów dochody z wpisów znacznie się zmniejszyły i zachodzi obawa, czy wydatki tegoroczne zostaną pokryte.

— Zarząd Tow. lekarskiego podaje do wiadomości że na 1905/6 rok szkolny wakuje dziewięć stypendyów: trzy stypendya imienia d-ra Konstantego Marcinkiewicza, każde po 300 rb., dla studentów wydziału lekarskiego warszawskiego uniwersytetu, jedno stypendyum imienia dr. Ignacego Gołębiowskiego w sumie 200 rb. rocznie i sześć stypendyów imienia d-ra Walentego Kaczorowskiego po 300 rb. każde.

Sztuka. Komitet Tow. Zach. Sz. pięk. postanowił co każdą pierwszą niedzielę miesiąca obniżyć cenę biletu wejścia na wystawę tylko do 5 kop. Dla młodzieży wszystkich zakładów naukowych mają być również poczynione ulgi.

Literatura i prasa. Jako ilustracyę do dziejów naszej prasy „Rozwoj" wykazuje miejsca, w których cenzurowane są polskie pisma w Łodzi.

1. Wiadomości dworskie idą do ministeryum Dworu w Petersburgu. 2. Depesze Agencyi Petersburskiej cenzurowane są przez cenzurę petersburską. 3. Artykuły dziennikarskie przez oddzielnego cenzora w Łodzi. 4. Artykuły o wojnie idą do cenzora wojennego do Warszawy. 5. Wiadomości o starciach z policyą — do policmajstra m. Łodzi. 6. Ogłoszenia medyczne i zawiadomienia lekarzów—do rady lekarskiej w Piotrkowie. 7. Ogłoszenia zwykłe i nekrologi do policmajstra m. Łodzi. 8. Na ogłoszenia o poszukiwaniu lekcyi i dotyczące szkół daje wpierw swoje zezwolenie naczelnik dyrekcyi naukowej. 9. Artykuły w kwestyi szkół odsyła się do kuratora okręgu naukowego. 10. Artykuły w kwestyach religijnych — do departamentu wyznań w Petersburgu 11. Często jeszcze artykuły z prowadzenia śledztwa podpisuje prokurator lub sędzia śledczy.

Wiadomości ekonomiczne. Skutkiem ogólnego przesilenia wielu włościan w Królestwie, którzy nabyli grunta za pośrednictwem banku włościańskiego, zalega w opłacie rat; zwracają się oni do oddziałów banku z prośbą o odroczenie spłat do lepszej pory. Ogółem zaległość wynosi obecnie 31,8%. W porównaniu z innymi miejscowościami państwa, jest to procent prawie najwyższy.

— *Syn Otiecz.* tak komentuje wiadomość o 150 tys. ton najlepszego węgla cardiffskiego, niezapisanych w żadnych księgach ani dokumentach, które Japończycy znaleźli w Porcie Artura przy obejmowaniu go w posiadanie: „Jeżeli wiadomość o 150 tysiącach ton węgla „bez paszportu" jest prawdziwa, to pozostaje tylko schylić głowę przed olbrzymią skalą „gospodarki" marynarzy portarturskich. Jest to taka liczba, która może wprawić w zdumienie nawet Rosyan—naród wogóle przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju okradywania skarbu i godzący się z tem zjawiskiem, jako z czemś najzupełniej zwyczajnem".

Poczta i telegraf. Pomimo ogłoszenia urzędowego rozporządzenia o przyjmowaniu depesz w języku polskim ze wszystkich i do wszystkich miejscowości w państwie rosyjskiem urzędy telegraficzne stale przyjęcia ich odmawiają, tłomacząc się tem, że żadnego okólnika w tej sprawie od swej władzy nie otrzymały. Zerząd zaś główny telegrafów w Petersburgu interpolowany przez publiczność za każdym razem odpowiada, że rozporządzenia o przyjmowaniu telegramów w języku polskiem wydane zostało pod Nr. 34.

— Główny zarząd poczt i telegrafów polecił urządzić dla urzędników bufety, pokoje dla wypoczynku, dobrze opalać lokale służbowe, urządzić wentylacyę i t. d.

— Urzędnicy głównego zarządu poczt i telegrafów z naczelnikiem zarządu Sewastjanowem na czele przedstawili władzy wyższej odezwę, iż nie będą płacili dobrowolnych 2 proc. składek na wzmocnienie floty wobec ustanowienia przymusowych strącań z pensyj na potrzeby wojenne.

OFIARY.

Dla nieszczęśliwych: rb. 500 złożone przez uczestników zebrania u pp. Hulanickich, w Sorokaniowej i u ks. proboszcza Zagórskiego w Berszadzie, gub. Podolska.

Dla głodnych: rb. 5 E. D. z Weisensztejnu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 12 Мая 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.